

**Najśmieszniejsza powieść o utracie pracy,
męczeniu kota i seryjnym mordercy**

Bożydar Grzebyk

A komu czasem nie odbija?



Bożydar Grzebyk

A komu czasem nie odbija?

Grodków 2011

[Kup książkę](#)

Okładka
Zamaskowani obrońcy Atlantydy

Skład i łamanie
BeNo

ISBN 978-83-62541-17-1

copyright © by Bożydar Grzebyk, Kraków 1998

copyright © by „Dobre Słowo”,
Grodków 2011

„Dobre Słowo”
ul. Traugutta 12
49–200 Grodków
www.grodkowskie.pl
e-mail: redakcja@grodkowskie.pl

Prolog

Sierota po Kuferku

Jurek był przerażony. Czuł strużki potu spływające z czoła i nieznośny ucisk w gardle. Wbijał spojrzenie zbitego psa w twarze mijanych ludzi i czekał na chwilę, kiedy zostanie zdemaskowany. Kiedy ktoś wyciągnie w jego stronę palec i zacznie krzyczeć. A może tylko ryknie pełnym szyderstwa śmiechem?

Tak, najgorsze było to oczekiwanie i towarzyszące mu napięcie. No i wstyd. Bo przecież trzydziestoletni mężczyzna spacerujący w godzinach szczytu po centrum miasta ubrany jedynie w zbyt krótki podkoszulek musi czuć wstyd. Chyba że jest ekshibicjonistą albo artystą happeningowym. A Jurek nie był ani jednym, ani drugim.

Kiedy mijał rząd budek telefonicznych zobaczył uroczą szatynkę w żółtej sukience. Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Wiedział, że to już koniec. To właśnie ta dziewczyna pierwsza dostrzeże jego nagość. Tak przynajmniej było do tej pory...

Szatynka wyciągnęła w jego stronę rękę. Jakaś kobieta zasłoniła oczy dziecku, staruszek potrząsnął groźnie parasolem i Jurek zapadł się w mrok.

Pościel była mokra od potu. Wstał z łóżka, strącając z kołdry kotkę. Popatrzyła na niego z politowaniem w oczach, ziewnęła i zeskoczyła z łóżka na podłogę. Powoli podeszła do miseczki z chrupkami i zaczęła jeść.

Jej właściciel stanął przy oknie i w milczeniu patrzył na pogrążone w szarości świtu miasto. Bał się. Ten nudystyczny sen zawsze zapowiadał jakieś nieszczęście. Oblany egzamin, wypowiedzenie umowy o wynajem mieszkania albo spotkanie z osobą, której za żadne skarby nie chciał spotkać.

Wschodziło słońce. Zapowiadał się piękny dzień. Dobry dzień na to, żeby mieć pecha.

* * *

– Jesteś leniem – oznajmił mu dyrektor Wiesław Kuferek. – Myślisz, że będę trzymał takiego pracownika, który nic nie potrafi? Nawet z hurtownikiem po ludzku pogadać nie umiesz. Za kogo ty się uważasz? Że jak ktoś ma tylko zawodówkę, to można go jak traktować jak pomietło? Tylko on ma kupę forsy, a ty ten inteligencki uśmieszek i nic poza tym. Dlatego już u mnie nie pracujesz.

Dyrektor westchnął. Klepnął przyjacielsko Jurka po plecach.

– Masz szczęście, że to się tylko tym kończy – dodał poufale. – Krzychu to cię chciał nawet po gębie obić,

za to żeś poprawiał każde jego słowo. Na szczęście to ludzki gość. Wypiliśmy i dał ci jeszcze jedną szansę. Ale przecież z każdym klientem pił nie będę. I nie będę trzymał pracownika, który mi klientów odstrasza.

Dyrektor wyjął z kieszeni kilka pomiętych banknotów.

–Masz tu pensję za następny miesiąc – włożył Jurkowi pieniądze do kieszonki koszuli. – Znaj moje dobre serce, bo przecież robisz tu „na gębę”.

Jurek bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Kiedy położył dłoń na klamce zatrzymał się i rzekł do Kuferka:

–Dziękuję panie dyrektorze.

Były szef niecierpliwie machnął ręką. Jurek zaczął się przeciskać przez mroczny korytarz zastawiony pudłami z plastikowymi butelkami w kształcie świętych, których głowy pełniły funkcję zakrętki, pachnącymi Matkami Boskimi i gipsowymi aniołkami ściskającymi w dłoniach ogniste miecze. Mijał je z obojętnością, choć sprzedaży tych arcydzieł sztuki odpustowej poświęcił niemal rok ze swego trzydziestoletniego życia.

Na zewnątrz świeciło słońce. Świat spowity w jego promienie wydawał się być urzekająco piękny, co było niezbitym dowodem na to, że naszą najbliższą gwiazdę można zaliczyć do grona największych klamców jakich знаła ludzkość. Przygnębiony radosnym widokiem roztaczającym się przed oczami,

Jurek ruszył w stronę pobliskiej piwiarni, aby alkoholem etylowym zamordować kilka tysięcy szarych komórek, które były odpowiedzialne za jego permanentną depresję. Minął białe BMW wypełnione czworgiem małych Kuferków, których płci nie potrafił rozróżnić. Nie spojrział nawet na swoją byłą pryncypałową, która, na widok jego obojętności, zastygła w bezruchu równie doskonałym jak ukarana za ciekawość żona Lota. Najwyraźniej lekceważenie okazywane przez pracowników firmy było dla niej kataklizmem porównywalnym z tym, który zniszczył z woli Boga rozpustne miasta.

W pijalni piwa miał swoją główną kwaterę okoliczny półświatek. Oprócz różnego rodzaju niebieskich ptaków zabijali tam nudę zdegenerowani inteligen-ci, nieszczęśliwi mężowie i notoryczni bezrobotni. Było to miejsce magiczne. W zadymionej, cuchnącej tanim tytoniem i skwaśniałym piwem sali pijacki bełkot mieszał się z artystyczną gwarą i przestępczym slangiem, tworząc metafizyczną symfonię dekadentyzmu i nihilizmu.

Były sprzedawca dewocjonaliów obrzucił klientów lokalu nieufnym spojrzeniem. Z niesmakiem stwierdził, że większość stolików obsiedli niezrealizowani twórcy, którzy godzinami rozprawiali o niesprawiedliwości świata wobec prawdziwej sztuki. Programowo unikał takich konwersacji, gdyż serce miał litościwe i jęki artystów spychały go na samo dno baudelaire'owskiej otchłani smutku, z której od

miesiący usiłował się wydostać. W kącie dostrzegł Bibułę i Grafa, dwóch cieszących się powszechnym szacunkiem bandytów. Pierwszy z nich zyskał sławę uprowadzając ciężarówkę pełną tekturowych pudeł, w których spodziewał się znaleźć papierosy z przemytu, a była tam jedynie kolorowa bibułka. Graf natomiast zyskał przydomek dzięki uprawianiu handlu filmami pornograficznymi. Kiedy zatrzymała go na jednym z miejskich bazarów policja, oznajmił funkcjonariuszom z rozbrajającym uśmiechem, że jest pornografem. Było to słowo zbyt długie, nieekonomiczne w wymowie, więc stróże prawa nobilitowali go z niemiecka, czym sprawili mu wielką przykrość. Z przekonania był bowiem bolszewikiem i arystokracja w jego mniemaniu stanowiła klasę pasożytniczą, którą trzeba ograbiać z wszelkich bogactw.

Jurek podniósł do ust kufel piwa podsunęty mu przez bez słowa przez Grubą Helkę. Wręczając jej pieniądze spostrzegł wielki nagłówek na pierwszej stronie leżącej na ladzie gazety „Seryjny morderca tnie równo”. Przez chwilę stał wpatrując się w duże czarne litery, jakby żałował, że to nie jego jakiś szalenciec pochłastał brzytwą. Nagle mruknął coś niezrozumiale pod nosem i ruszył w głąb sali.

– Mogę się dosiąść – zapytał zatrzymując się obok stolika niebieskich ptaków. Bibuła spojrzał na niego spod przymkniętych powiek.

– Pewnie Święconka – rzucił po chwili. – Cóżeś taki zmizerowany jak cieć na kacu?

Graf wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Ten wieprz wywalil mnie z roboty – Jurek uśmiechnął się smutno i pociągnął duży łyk piwa.

Bibuła pokiwał ze smutkiem głową.

–Dobierałeś się do Kuferkowej czy kradłeś? – zapytał poważnie.

–A co tam kraść? Gipsowe aniołki? Zresztą Kuferk wcześniej odwali kitę niż da się okraść. Przez takiego pana Krzysia. Nie mogłem się z nim dogadać, bo na trzy wypowiedane przez niego słowa dwa opisują najstarszy zawód świata. No i naskarżył, że mu zwróciłem uwagę... – Jurek zawiesił dramatycznie głos. Po chwili dodał: – To taki dupek, który przyjeżdża pod dom Kuferka czerwonym audi. To prawie nówka... Do tego facet jest tak skąpy, że zamiast alarmu zainstalował sobie migającą diodę.

–To rzeczywiście prawdziwy dupek – powiedział w zamyśleniu Bibuła. – Powinieneś mu dokopać.

–Już od dziecka wszyscy uważają, że jestem genetycznie obciążony, bo brzydę się przemocą – Jurek pociągnął kolejny łyk piwa. – I uczciwy, cholera, jestem. Nikogo bym nie skrzywdził i nie okradł.

–Święconka, ty nic w życiu nie osiągniesz – Graf poklepał nieudacznika po plecach. – Ale od czego ma się kumpli, załatwimy ci robotę...

Do piwiarni wszedł niski, gruby mężczyzna w czarnym garniturze. Odszukał wzrokiem Grafa i Bibułę, podniósł rękę w geście pozdrowienia i szybkim krokiem zaczął zbliżać się do stolika.

–Robota sama idzie – mruknął do Jurka Graf.

–Dzięki Bogu, że tu jesteście – grubas wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął wycierać sobie czoło. – Za dwie godziny trzeba obstawić nieboszczyka. Rodzinka chce przyjaciół na zdjęciu.

–Panie Mieciu, bujaj się pan sam – Bibuła potarł palcem nos. – Znowu się impreza przeciągnie, a cmentarz miejsce święte. Nawet dymka pociągnąć nie wypada. Do tego jeszcze w gębę można zebrać.

Grubas zaczerwienił się i opadł zdenerwowany na stojące obok krzesło.

–Panowie, czy to moja wina, że wdowiec oszalał i rzucił się na trumnę? – pan Miecio nagle rozindygotał się. – A po jaką cholere zaczęliście go podnosić? Płaciłem wam za to?

–Cóż zrobić, serce mam miękkie i zawsze chcę pomóc, kiedy ktoś cierpi – Bibuła podrapał się po głowie. – W każdym razie za te pieniądze już nie pójdziemy.

–Jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze – grubas rozpromienił się. – Dostaniecie dyche więcej niż ostatnim razem.

–Trzy albo szukaj pan kogo innego – Bibuła splunął w stronę ściany.

–15 złotych to maksimum i pod warunkiem, że buty sobie wypastujecie i nie będziecie rozpinać kołnierzyków – pan Miecio był już całkiem rozluźniony. – I tak daję wam to kosztem moich małych dzieci.

–Panie Mieciu, pan przecież nie masz dzieci – Graf pociągnął nosem.

Grubas zmarszczył czoło.

–Nie doceniasz mnie. Jakbym wam opowiedział jakim byłem kiedyś pistoletem, to byście nie uwierzyli – wyrzucił z siebie z przekonaniem. – Kiedy pomyślę o owocach szalonych, letnich nocy mojej młodości, to zaczynam cierpieć na bezsenność. Co ja bym zrobił, gdybym musiał wszystkim płacić alimenty?

Bandyci pokiwali w zrozumieniu głowami. Sami co miesiąc powinni przekazywać pieniądze na utrzymanie łącznie trzech dzieciaków. Bibuła nagle wskazał palcem na Jurka.

–Ten nowy idzie z nami – stwierdził.

Grubas zamyślił się. Po chwili zmrużył powieki.

–Mogę mu dać tylko połowę stawki – powiedział stanowczo. – Niedoświadczony jest.

Graf i Bibuła spojrzeli pytająco na Jurka, który uśmiechnął się nieśmiało.

–Dobrze – rzucił od niechcenia.

–Gdzieś ty chłopie tak nauczył się targować? – Graf pokręcił z dezaprobatą głową.

–Pewnie na uniwersytecie – Bibuła roześmiał się. Zawtórował mu pan Miecio i Graf. Uniwersytet jest bowiem bardzo śmiesznym miejscem.

Rozdział 1

Firma

Firma pana Miecia, „Święta Pamięć”, od kilku lat przeżywała prosperity. Było to niewątpliwie związane z faktem, że miasto bardzo podupadło. Dynamiczne firmy przeniosły się w inne strony, gdzie urzędnicy mieli więcej umiaru w braniu łapówek, decyzje zapadały szybko i nikt nie organizował protestów i pikiet przed siedzibami inwestorów. Mieszkańcy miasta szybko to odczuli. Ich dochody od kilku lat spadały. A brak kasy wywoływał słynny w całym kraju spleen, który określano mianem „artystycznej atmosfery”. Taka gra pozorów wywoływała stres, który niewątpliwie sprzyjał rozwojowi wszelkich chorób, podobnie jak ogrzewanie mieszkań w starych kamienicach kupowanymi za grosze od bezdomnych eksploratorów śmietników, plastikowymi butelkami i innymi łatwopalnymi śmieciami. Zimą, kiedy promienie słoneczne nie były w stanie pobudzić w organizmach produkcji hormonów

optymizmu, w mieście panowały nastroje depresyjne, a w powietrzu unosiła się chmura rakotwórczych dioksyn i śmiercionośnych pyłów.

Wszystko to niezwykle korzystnie wpływało na interesy pana Miecia, który zresztą nie liczył jedynie na warunki naturalne, lecz aktywnie pomagał swojemu szczęściu, ze zrozumieniem podchodząc do rosnących z roku na rok potrzeb pracowników pobliskiego szpitala i hojnie sponsorował ich przedsięwzięcia budowlane i komunikacyjne. W zamian otrzymywał informacje o operacjach, które nie mogły skończyć się dobrze, pacjentach, których stan nie rokował wielkich nadziei i świeżo wystawionych aktach zgonu. Inwestycje w pracowników służby zdrowia były bardzo rentowne i z pewnością, gdyby nie branża, w której przyszło robić interesy panu Mieciowi, otrzymywałby tytuły najlepszego menedżera i przodownika biznesu. Właściciel „Świętej Pamięci” znał jednak naturę ludzką i wiedział, że nie należy afiszować się zarówno z własnym bogactwem, jak i z obrotami firmy. Zatajał je nie tylko przed opinią publiczną, ale także przed urzędem skarbowym. Szczególnie brzydził się podatkiem od wartości dodanej, zwanym potocznie VAT-em. Twierdził, że jego firma realizuje wszystkie najwyższe wartości i żadnej innej dodawać nie pozwala mu moralność, a tym samym nie może płacić podatku od czegoś, co nie istnieje.

Straty, jakie ponosiło społeczeństwo na jego oszustwach podatkowych, usiłował rekompensować

przez przerost zatrudnienia. Dzięki niemu nie pobierało zasiłku czworo pracowników biurowych i pięciu facetów, którzy twierdzili, że potrafią ciąć i heblować drewno. Niektórym dał etat z litości, innym przez protekcję. Nie miał ani jednego pracownika, który trafił do jego firmy tylko dlatego, że był dobrym fachowcem. Specjalistów zatrudniał dorywczo i niechętnie, nadając im dumnie brzmiący tytuł stałych współpracowników. Działo się tak z prostej przyczyny. Pan Miecio należał do pierwszego pokolenia biznesmenów. Nie miał więc jeszcze zdrowego dystansu do klasy wyzyskiwanej. Wszystko chciał kontrolować i wtykał nos w sprawy, na których w ogóle się nie znał. Wpadał na przykład do stolarni i rwąc włosy na głowie krzyczał:

–Bój się Boga, panie Jasiu, ile pan tego kleju smarujesz! To się cieniutką warstewkę nakłada! Pan mnie z torbami puścisz! – chwycił za pędzel i sam maźgał po deskach. Mruczał przy tym ostentacyjnie:

–Dzisiejsi ludzie! Na niczym się nie znają, wszystko muszę sam robić! I jeszcze pensje chcą takie, jakby chcieli człowieka zrujnować!

Takiego traktowania nie zniósłby żaden szanujący się majster i pan Miecio wyleciałby z warsztatu z dłutem w głowie lub plecach, a w najlepszym razie zostałby zelżony słowami, którymi, według potocznych wyobrażeń, lubi szafować szewc. Właściciel „Świętej Pamięci” miał już podobne doświadczenia dlatego unikał fachowców jak diabeł święconej

wody. Zresztą na dobrą sprawę nie byli mu oni potrzebni. Jego firma kreowała bowiem rzeczy ulotne, które po kilku godzinach mogły się po prostu rozlecieć, rozpaść na tysiące kawałków, pograżyć w całkowitym niebycie. A do robienia takich prowizorek pracownicy pana Miecia nadawali się wyśmienicie. A skoro tworzyli nietrwale, niechlujnie i często amorficznie pryncypał miał czyste sumienie, nie szanując ich czasu i płacąc im niewiele więcej niż dostawali bezrobotni zasiłku.

Jurek nieśmiało przekroczył próg biura „Świętej Pamięci”. Czuł się nieswojo w garniturze, który otrzymał w prezencie od rodziców z okazji obrony pracy magisterskiej. Marynarka miała niemodny krój, do tego uszyta była z elektryzującego się materiału, przez co Jurek zwracał na siebie uwagę trzaskami wyładowań elektrycznych. Strój ten miał jednak wielką zaletę. Był prawie czarny, więc idealnie nadawał się na pogrzeb.

–Czego pan tu chce? – zapytała sekretarka szefa, pani Hania, mierząc go ponurym spojrzeniem.

–Pan Mieczysław kazał mi się zgłosić do obsługi pogrzebu – wyjaśnił spokojnie Jurek. Pracownicy biurowi wbili w niego pełen ciekawości wzrok.

–Pana dyrektora Wróbla nie ma teraz, ale jak panu kazał przyjść to niech pan zaczeka... Na zewnątrz – pani Hania odwróciła się do niego plecami.

Jurek wyszedł na korytarz. Kiedy zamykał za sobą drzwi, usłyszał głos sekretarki:

–Ten stary matoł znowu jakiegoś nowego kryminalistę wynalazł.

–Świetnie to pani ujęła – pochwalił ją Mareczek, prawa ręka szefowej sekretariatu.

Jurek wzruszył ramionami.

* * *

Pogrzeb zapowiadał się pięknie. Trumna błyszczała w promieniach słońca. Kwaciarnia, której właścicielką była siostrzenica pana Miecia dostarczyła siedem wieńców z goździków, róż i lilii. Dalsza rodzina nieboszczyka dodatkowo przytąszczyła kilkanaście ogromnych wiązanek kwiatów. Nie było tylko księdza i dźwigających żałobne chorągwie ministrantów, gdyż zmarły kilka miesięcy przed śmiercią został wyznawcą jednej z importowanych z Ameryki religii, według której niejaka Abelaida Jong-Pang jest prorokiem zesłanym przez Wielkiego Ducha, aby pokazać ludziom jedyną słuszną drogę do życia po życiu. Wdowa była przekonana, że to niezwykle nawrócenie było spowodowane nie tyle nagłym objawieniem, co słabością jej męża do drobnych brunetek ze skośnymi oczami. Umocnił jej poglądy fakt, że Abelaida wygłaszała kazania całkiem naga, gdyż, jak twierdziła, nie miała przed słuchaczami nic do ukrycia. Słowo objawione było rozprowadzane na kasetach wideo i zyskiwało zwolenników przede wszystkim wśród podstarzałych panów, którzy doszli już do tego etapu w życiu, kiedy ważniejsza

staje się wyobraźnia i wspomnienia niż realne czyny. Abelaida wiedziała jak ich przyciągnąć do sekty. Swoim wyznawcom obiecywała, że Wielki Duch nagrodzi najbardziej oddanych zdolnością wiecznej prokreacji.

Wdowa obawiała się, że innowierstwo męża będzie przyczyną nikłego zainteresowania pogrzebem. Dlatego przezornie zamówiła u pana Miecia profesjonalnych żałobników, którzy mieli odgrywać rolę przyjaciół zmarłego i ronić łzy, kiedy fotograf będzie robił zdjęcia. Musiała być niezmiernie zdziwiona, widząc tłum kłębiący się wokół świeżo wykopanego grobu.

Pan Miecio zbliżył się do stojących na uboczu wynajętych żałobników.

–Panowie, widzicie, że wasze usługi nie są potrzebne – powiedział nonszalancko. – Wyplączę wam jedną czwartą za gotowość i możecie iść do domu.

Bibuła spojrzał na Grafa. Na jego twarzy wykwitł promienny uśmiech.

–Panie Mieciu... życie panu niemiłe czy co? Chcesz pan iść w ślady nieboszczyka? – wolno cedził słowa.

Policzki Pana Miecia ozdobił silny rumieniec.

–Panowie, panowie... – powtarzał z niepokojem.

–Wynająłeś nas pan, to płać – powiedział dobitnie Bibuła. – A jak nie, to zaraz z tego pogrzebu będzie wesele, takie jak w Porąbce... Świąconka, kopsnij się po jakiś sztachet.

Pan Miecio nadał się jak ryba głębinowa po wyciągnięciu na powierzchnię.

–Ależ panowie... Nie róbcie jaj z pogrzebu – szep-
tał błagalnie. – Przecież jesteśmy wykształconymi
ludźmi i możemy prowadzić dialog w sposób cywi-
lizowany. Po pierwsze kto wam nie chce zapłacić za
usługę?

–Od razu trzeba było tak mówić panie Mieciu – Bi-
buła westchnął głośno. – Nadszarpnąłeś pan jednak
nasze zaufanie. Dlatego szefie, forsa z góry!

Właściciel „Świętej Pamięci” rozejrzał się wokoło
bezzadnie. Machnął zrezygnowany ręką.

–Chodźcie za ten grobowiec – wskazał wielką gra-
nitową bryłę pomnika wystawionego ku czci rodziny
Ogórów w czasach, kiedy właściciele szklarni i drob-
ni wytwórcy deficytowych dóbr byli elitą finansową
kraju.

Kiedy skryli się przed wzrokiem uczestników po-
grzebu, pan Miecio drżącymi rękami wyjął portfel
i zaczął odliczać nowiutkie dziesięciozłotówki. Pra-
wie ze łzami w oczach patrzył jak znikają w kiesze-
niach wynajętych żałobników.

–To chyba możemy już iść – ni to zapytał, ni to
stwierdził Jurek.

Graf popatrzył na niego pełnym dezaprobaty wzro-
kiem.

–Święconka, my jesteśmy poważne ludzie. Za-
płacone. Wykonane. Jak w banku. Reklamacji nie
przyjmujemy – wyjaśnił i wyciągnął z kieszeni pół
litra wyborowej. – Najpierw trzeba się pokrzepić...

Tymczasem większość osób zgromadzonych na
pogrzebie oczekiwała, że zaraz przed nimi wystąpi

jakaś skośnooka kapłanka sekty, jeśli nie rozebrana całkiem, to chociaż do pasa. Tkwili więc wśród mogił, żądni sensacji i skandalu, lecz całkowicie się zawiedli. Okolicznościowe przemówienie miał bowiem wygłosić bliski przyjaciel rodziny zmarłego Wojciech Pincher. Mężczyzna ten dumnie wypinał wydatny brzuszeczek, który opinała nieco staroświecka i odrobinę za ciasna marynarka. Tuszował natomiast inne felery swojej urody – łysinkę zakrył tupecikiem, a brak zębów kamuflował sztuczną szczęką. Bohatersko usiłował również powstrzymać atak swojej odwiecznej przypadłości, kataru siennego. Dyskretnie przecierał nos białą chusteczką z wyhaftowanym monogramem i kichał, a raczej parskał w rękaw. Kiedy położono obok grobu trumnę, a wdowa pochyliła się nad nią w konwencjonalnym geście żałoby, rzucił się, by podtrzymać zrozpaczoną kobietę. Pincher dbał bowiem o image gentlemana, który udało mu się zachować, mimo różnych rewolucji obyczajowych przez prawie 50 lat dorosłego życia. W momencie, kiedy ujął przyjaciółkę pod ramię, zakręciło mu w nosie potężniej niż zwykle, a winę za to ponosiły ciężkie, rozsiewające wokół woń piżma i szlachetnych przypraw korzennych perfumy, którymi wdowa skropiła się obficie przed pogrzebem. Kichnął, a potem drugi raz i trzeci.

– Niech pan przemówi – szepnęła mu na ucho na wpół omdlała wdowa. – Bo ludzie już są znudzeni.

Rzeczywiście, żałobnicy podświadomie okazywali znużenie przedłużającą się ceremonią. Niektórzy

kopali dołki obcasami, inni zaczynali zbyt głośno rozmawiać, a przedstawiciele młodego pokolenia, od czasu do czasu, wybuchali tłumionym śmiechem. Pincher niepewnym krokiem wyszedł na środek. Wciągnął nosem powietrze. Nie wykrztusił jednak z siebie ani słowa. Jego oczy wypełniły się łzami, poczerwieniał na twarzy, a z gardła wydobyło się kolejne potężne kichnięcie. Krztusząc się i prychając zszedł ze sceny cmentarnych wydarzeń i schronił się za grobowcem Ogórów.

–Kompromitacja! – wydusił z siebie pomiędzy kichnięciami i sapnięciami. – Jak ja im w oczy spojrzę?

–Napij się pan, to panu przejdzie – Bibuła podsunął mu flaszkę, a pan Wojtek pociągnął z niej ostro.

–Miałem powiedzieć ostatnie słowo o zmarłym! – rozpaczał dalej Pincher.

–Też ma pan problemy – Graf splunął pod nogi. – Kiedyś miałem zeznawać w sądzie, całą noc ustalałem z papugą co powiedzieć, żeby kumpla nie posadzili. I wyobraź sobie pan stoję na tej mównicy i ani dudu. Ze łba wszystko wyleciało i nie rozumiem nawet, co do mnie mówią. Podobno oczy takie durne miałem, że sędzia chciał mnie na badania wysłać, czym nie jest naćpany. Najgorzej, że kumplowi piątkę wtedy dali. A co zrobią nieboszczykowi? Przysypią go prędzej?

–Co tam nieboszczyk! Jak ja się znajomym na oczy pokażę? Taki wstyd! – nie dawał się pocieszyć pan Wojtek.

–Daj pan na litra, to znajdziemy zastępstwo – oznajmił nagle Bibuła wskazując na Jurka. – Ten oto Święconka, człowiek wykształcony i bywały nawet w uniwersytetach, ma niezłe gadane i mówkę odpowiednią palnie. Oczywiście, jak już wspomniałem, nic nie ma za darmo, bo za wysoko wykształcone usługi trzeba płacić. Nauka kosztuje. To jak będzie panie starszy?

Pincher spojrzał na Jurka, a jego w jego oczach pojawił się błysk nadziei. Zaczął grzebać w kieszeni i triumfalnie wy dostał z niej banknot pięćdziesięciozłotowy.

–Z nieba mi pan spadł – powtarzał z ulgą, tłumiąc ataki kaszlu.

–Ale ja... – Jurek był zbyt zaskoczony, żeby powiedzieć coś sensownego. – Ale ja... Nie znałem tego faceta.

Bibuła sprawnie wyjął z dłoni pana Wojtka pieniądze.

–Usługa zapłacona, będzie wykonana – powiedział uroczyście. – Święconka ludzie się niecierpliwią. Strzel to ostatnie słówko i idziemy do knajpy.

Delikatnie wypchnął Jurka zza grobowca.

–Chyba nie zawiedziesz kumpli, którzy serce przed tobą otworzyli – szepnął mu do ucha Graf.

Jurek podrapał się po głowie. Ruszył niepewnie w stronę zgromadzonego wokół grobu tłumu. Stając obok trumny spojrzał w stronę cmentarnej kwatery rodu Ogórów. Zza granitowego pomnika

wystawały trzy, wpatrujące się w niego z zacięciem, głowy. Bibuła machnął niecierpliwie ręką, co Jurek słusznie odczytał jako zakodowaną zachętę: „No co frajerze stoisz, nawijaj!”. Gardło ścisnęła mu trema. Czuł, że gdyby nie wypił dwóch kolejek, to z pewnością padłby na ziemię zemdlony. Wiedział, że powinien uciec stąd jak najszybciej. Bał się jednak swoich knajpianych znajomych. Przypomniawszy sobie, jak Graf mówił kiedyś, że to niehonorowo oddawać forszę, a jak ktoś raz honoru swojego nie uszanuje, to jest szmata i nawet podłogi nim nie wypada czyścić, bo się można pochłapać. Zaciśnął pięści. Chrząknął dla dodania sobie odwagi.

– Proszę państwa – usłyszał nagle swój głos dochodzący gdzieś z oddali. – Proszę państwa – powtórzył i ze zdziwieniem dostrzegł, że ludzie zamilkli i wpatrują się w niego uważnie. – Żegnamy dzisiaj wspańiałego, niezwykłego człowieka... – zrobił efektowną pauzę i zerknął na tabliczkę z nazwiskiem zmarłego. – Józef, któremu dzisiaj towarzyszymy w ostatniej drodze zapisał się w naszej pamięci różnymi czynami. Być może nie wszystkie były godne pochwały, ale przecież wszyscy jesteśmy grzesznikami i nie zawsze postępujemy, tak jak powinniśmy...

Znajomi nieboszczyka kiwali głowami, niektóre panie, zaczęły wycierać oczy chusteczką.

– Ale czy warto pamiętać złe rzeczy? – kontynuował Jurek. – Czy nie lepiej zapamiętać zmarłego Józefa jako wybitną indywidualność, człowieka, który za-

wsze idzie własną drogą, dokonuje wyborów, zapewne niepopularnych, ale prowadzących do rozkwitu osobowości. Bo Józef, proszę państwa, miał niezwykłą osobowość. Może ją ukrywał, nie okazywał swojego wnętrza, jednak ci, którzy go dobrze znali, mogli sami się przekonać, jakie skarby kryją się w jego duszy...

–Tak, tak! – krzyknęła wzruszona kobieta w kapeluszu z woalką. Wdowa oderwała chusteczkę od oczu i zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

–Kiedy trumna znika pod ziemią, szybko zapominamy o zmarłym. W przypadku Józefa będzie jednak inaczej – Jurek wbił nawiedzony wzrok w przesuwającego leniwie po niebie cumulusa. – Jego nie sposób będzie zapomnieć. Jeszcze długo będą nam towarzyszyć jego mądre słowa i kiedy je wspomnimy, pojawi się żal, że taki człowiek odszedł tak wcześnie. Żegnaj Józefie, być może niedługo spotkamy się tam, gdzie ty teraz zmierzasz...

Jurek ze zdumieniem patrzył jak emerytki ocierają łzy, a posiwiali mężczyźni udają twardzieli, lecz nie bardzo im to wychodzi.

–Pan musiał dobrze znać zmarłego – powiedział do Jurka jakiś starszy pan, ściskając mu mocno dłoń.

–Dobrze, że dałeś chłopcze do zrozumienia, że czasami był zwykłym skurwysynem – szepnęła mu na ucho energiczna staruszka.

Pan Miecio stał z otwartymi ustami, a przez jego głowę najwyraźniej przelatywało tysiące myśli. Na-

gle zwarł szczęki, wargi wydał w refleksyjny dziubek i podszedł do Jurka.

–Tak, tak, całkiem nieźle panu idzie – powiedział pełnym zadumy głosem. – Może trochę za mało ekspresji, a za dużo egzaltacji, ale ma pan jakieś zdolności w tym kierunku. Niech pan przyjdzie jutro do mnie do biura. O 8 rano.

* * *

Bywalcami piwiarni Grubej Helki nie byli pełni radości turyści ani przedstawiciele miejscowych elit, którzy z perspektywy finansowanych z budżetu, dobrze płatnych posad z optymizmem mogli patrzeć na świat. Przy odrapanych stolikach siedzieli ludzie, którzy w złocistym płynie usiłowali utopić swoje kompleksy i żale. Patrzyli smutnym wzrokiem na coraz bardziej puste kufle i zastanawiali się skąd wziąć kilka złotych na kolejną porcję rozluźniającego eliksiru. Miejsce to idealnie nadawało się na stypę.

–No widzisz Święconka – klepnął Jurka w ramię Graf. – Raz człowiekowi nie wychodzi, a tu nagle innym razem szmal sam pcha się w ręce.

–Miałem takiego kumpla – powiedział Bibuła. – Zrobił jedno włamsko, same ciuchy, drugie włamsko i znów nic. Ale ktoś zaczął chrobotać do drzwi, to przez balkon, myk, przeskoczył do sąsiada. A tam El Dorado. Buzery i bajery, nawet frajerzy gotówkę trzymali w bieliźniarce. Przez rok żył jak panisko i pracować nie musiał.

–Ja też tak miałem – pokiwał głową Graf. – Mówią mi kumple, że do mojej baby taki taryfiarz z niebieskiego opla zachodzi. No to wsiadam, kurs za miasto i tłumaczę gościowi. Okularki mu się potłukły, limko wyskoczyło pod okiem, ale mi się coś nie zgadza. Bo to był brunet, a ja szukałem blondyna... Popędliwy jestem i czasem zapomnę pomyśleć... No to przepraszam i wsiadam do innego opla. Kurs za miasto. Jest blondyn, to ja mu tłumaczę. Rękę sobie wybiłem, boli jak cholera. A gościu wyjmuje portfel i mi daje. A tam ma zdjęcie w objęciach innego faceta. Pedzio jak nic. To przepraszam. Szukam kolejnego opla, ale już się rozeszło. Podchodzę na postój, a tu jeden gościu z piskiem opon i rura. Czerwone światło, a on rura. I buch w autobus. Aż go straż musiała wycinać... Już się u mojej baby nie pokazał. To mi się dopiero udało, bo ręka mnie cholernie bolała i nic bym mu nie był w stanie wytłumaczyć...

–Może i mnie opuści pech? – zaczął się zastanawiać Jurek. – Do tej pory zawsze wpadałem w jakąś bryndzę. Albo mi nie płacili, albo wywalali, bo szef miał kuzyna, którego trzeba zatrudnić, albo i to, i to naraz...

–Ej, Święconka – westchnął Graf. – To nie wiesz jak to się załatwia... Niech no by mi taki frajer nie zapłacił...

–Co chcesz od chłopaka – wtrącił się Bibuła. – To gość po studiach, a wiadomo, że takich to się szyje, bo co najwyżej popyskują, ale już nawet do sądu nie pójdą, bo nie stać ich na papugę...

–To po co im, cholera, te uniwersytety? – zdziwił się Graf.

–No właśnie Święconka na co? – zapytał Bibuła.

–Sam jestem ciekawy... – wzruszył ramionami Jurek. – Dziesięć lat temu wiedziałem. Teraz... Pewnie cofnąłem się przez te lata w rozwoju intelektualnym...

–Siedziałem kiedyś z takim intele... Intelektualnym doktorkiem, ale nie lekarzem – skrzywił się Graf. – Żonę bił. Mówił, że to dlatego, bo miał jakąś świadomość rozszerzoną czy coś tam. W każdym razie to było coś z oczami, bo widział podobno wszystko, co złe robią inni. To go bardzo stresowało. No to, jak przychodził z pracy, młócił swoją babę, żeby odreagować... W nocy na celi wzięliśmy go pod koc i łubu-du. Taki eksperyment chcieliśmy zrobić okulistyczny. I okazało się, że nic nie widział.

–No bo widocznie nie zrobiliście nic złego – uśmiechnął się Bibuła.

–Pewnie tak – przytaknął Graf. – A ty Święconka, to nie możesz być miętki, bo takie Miecie to wyczuwają na kilometr... Trzeba gościowi w oczy popatrzeć, żeby aż we flakach poczuł. Nawet nawijać wiele nie trzeba, choć taki Bibuła lubi zawsze coś palnąć, jak z filmu.

–A pewnie, dobra gadka to połowa sukcesu – po kiwał głową Bibuła. – Ostatnio jeden gość przyszedł nawtykać mojemu dziecku, że poszturchało jego syna. A był nieźle pyskaty. Widzę, że gościu przyje-

chał niezłą furą. Podciągnąłem rękawy, żeby widział moje tatuaże i mówię, że ma niezłą brykę i pytam czy ma autocasco. Facio zamilkł. Patrzył na mnie przez chwilę, rączki zaczynają mu się trząść. Przeprosił i pojechał. Pewnie oszczędny był.

–To się nazywa stymulowanie wyobraźni... – powiedział z podziwem w głosie Jurek. – Ale ja tak nie umiem. W oczy nie mogę patrzeć, bo zaraz mi głupio, a z gadką to w ogóle do kitu, zaraz zaczynam się jąkać...

–Eee tam, nieźle ci poszło na pogrzebie – prychnął Graf. – Nawijałeś jak z kartki.

–To co innego... – skrzywił się mówca pogrzebowy. – Głupawki dostaję, jak mam coś załatwić. Mój kumpel, psycholog, mówił mi, że to przez mojego staruszka. Ciągłe mi powtarzał jak chciałem coś zrobić: A na co ci to!? Zostaw to, niech się inni nażreją!

–Psycholodzy! – burknął Graf. – Mam z takim jednym rachunczek. Jak siedziałem, to taki jeden goguś obraził moją mamusię. To ja mu musiałem wytłumaczyć. Aż mi ręce napuchły. To jeden taki psycholog wziął mnie na rozmowę. No to mu mówię, że gość moją mamusią gębę wycierał, a ten mi mówi, że mam kompleks Edypa. Jak ja bym wiedział, co to znaczy, to ja bym mu wytłumaczył. Ale dopiero na celi mi ten doktorek, co to nic nie widział, powiedział co to za jeden ten Edyp...

–Ten mój jest w porządku – pokiwał głową Jurek.
– Zajmuje się głównie nałogowcami.

–To powinien tu wywiesić plakat reklamowy – powiedział Bibuła. – Miałby dużo klientów.

–On lubi szmal – uśmiechnął się mówca. – Woli zajmować się wyższymi sferami...

–A pewnie, niech bulą za naćpanych synalków – wzruszył ramionami Bibuła.

Do ich stolika podszedł wymizerowany mężczyzna w pomiętej marynarce.

–Panowie dajcie i mnie poświętować – wydyszał. – Od dwóch dni nic w ustach nie miałem.

–Pij mleko będziesz wielki – rzucił w jego stronę Graf. – Nie po to zapieprzaliśmy w pocie i pyłe, żeby komuś stawiać.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem, co najwyraźniej rozsierdziło Grafa, który zerwałby się z krzesła i, zapewne, wytłumaczyłby intruzowi co nieco, gdyby nie przytrzymał go Bibuła.

–Uważaj na rączki, bo ci spuchną albo znów sobie wybijesz – powiedział uspokajająco. – Co zrobisz, że tu taka specyfika, że wszyscy tylko chcą na krzywy ryj... Jak ci się nie podoba, to się przeń...

–Zasrane miasto – Graf pociągnął spory łyk piwa.

–Panowie, ja mam już dosyć – powiedział Jurek. – Jutro będę miał monstrualnego kaca, a o ósmej mam być u pana Miecia.

Graf i Bibuła spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

–O ósmej to pan Miecio dopiero przewraca się na drugi bok – powiedział Graf.

–Ale za to bardzo lubi, żeby na niego czekać – uśmiechnął się Graf. – I całować w pierścień... Jak na audyencji u Papieża.

* * *

Tuż przed umówioną godziną Jurek zjawił się w biurze „Świętej Pamięci”. Pani Hania spojrzała na niego przekrwionymi z niewyspania oczami.

–A pan tu znowu czego? – zapytała.

–Byłem umówiony – Jurek uśmiechnął się.

–Znowu?! Szef już nie ma co robić – burknęła groźnie. – Nie ma go, zresztą on rzadko przychodzi przed 10...

Jej słowa przerwało potężne sapanie pana Miecia, który wpadł do biura niczym lokomotywa z wiersza Tuwima.

–Pani Haniu, nie ma mnie dla nikogo – zdążył powiedzieć nim zniknął za drzwiami swojego gabinetu.

–Nie mówiłam – pani Hania rzuciła od niechcenia.

–To ja poczekam – powiedział nieśmiało Jurek i usiadł na krześle przy ścianie. Sekretarka wzruszyła ramionami. Powoli schodzili się podwładni pana Miecia. Siadali przy biurkach i wzdychali żałośnie. Krystynka zaczęła robić zaległy manicure, Jadzia pisała kolejny list do ukochanego, który uciekł od niej do Ameryki, a Mareczek usiłował zamówić przez telefon 234 cegły z których chciał wznieść ścianki działowe w swoim nowym domu. Pani Hania nie dała mu jednak dokończyć transakcji. Wskazującym

palcem wcisnęła klawisz „off” na telefonie. Mareczek zrobił minę, która miała wyrażać zarówno zdziwienie, jak i poczucie wielkiej krzywdy.

–Nie będę czekać z korespondencją aż wybudujesz sobie chałupę – wyrzuciła z siebie sekretarka. – Coś mi miałeś przygotować i lepiej nie mów, że zapomniałeś, bo...

Groźba zawisała nad głową Mareczka, który westchnął boleśnie i zaczął grzebać w podniszczonej, skórzanej aktówce. Wyjął z niej przezroczysty ofertownik i z namaszczeniem przekazał go szefowej.

–Całą noc nad nim siedziałem – oznajmił z dumą w głosie.

Sekretarka wyjęła kartkę maszynopisu i zaczęła czytać półgłosem.

–W odpowiedzi na wasze pismo stwierdzamy, że płatne reklamy na naszych samochodach i budynkach mogą zostać umieszczone pod warunkiem, że będą płatne w gotówce. Płatne reklamy nie mogą być zbyt jaskrawe, bo będą się rzucać w oczy. Płatnych reklam nie możemy umieszczać na trumnach, gdyż rodziny zmarłych się na to nie zgodzą. Jeśli jednak odpowiednio zapłacicie, możemy spróbować przekonać rodziny zmarłych, żeby zgodziły się na płatne reklamy. Treść płatnych reklam musi być zgodna z interesem naszej firmy. Z poważaniem....

–Prawda, że dobrze to wymyśliłem... – bladą twarz Mareczka jeszcze bardziej rozjaśnił uśmiech.

–Zmień tylko „rodziny zmarłych” na „zamawiający pogrzeb” i będzie dobrze – pani Hania podrapała się

za uchem. – Przecież nie zawsze płaci rodzina. Czasem to opieka społeczna albo zakład ubezpieczeń.

Drzwi gabinetu pana Miecia otworzyły się. Pryncypał obrzucił chmurnym wzrokiem biuro.

– Pani Haniu, jaką trumnę dostał Zazulski? – zapytał.

Sekretarka rozziawiła nieprzystojnie usta.

– Jak to jaką panie dyrektorze. Standard pana Jasia – wyrzuciła z siebie pełnym zdziwienia głosem.

– Standard, a jakie było zamówienie? – Pan Miecio wypiął brzuszek w geście oburzenia i dezaprobaty.

Mareczek z zapalem godnym odkrywcy nowych lądów zaczął wertować znajdujące się w szafce skoroszyty.

– Mam – krzyknął triumfalnie. – Zazulscy zamówili trumnę dębową z mosiężnymi uchwytemi i zdobieniami.

– Standard! – pan Miecio zmarszczył brwi. – Czy wiecie, że nieboszczyk zawarł w testamencie zapis, że chce leżeć w dębie ze złotymi ozdobami? Czy wiecie, że wydziedziczeni krewni skierowali sprawę do sądu, bo ci, którzy dostali szmal nie wykonali ostatniej woli Zazulskiego? We wczorajszej poczcie znalazłem wezwanie na rozprawę. I teraz mam do was pytanie, jaki im wypisaliście rachunek, za standard, czy za dąb?

Mareczek nerwowo przewrócił kilka kartek w skoroszyce. Zatrzymał wzrok na jednej z nich. Ręce zaczęły mu drżeć.

–Za dąb – wyskrzeczwał.

–Co za idiota wystawił ten rachunek? – głos szefa przypominał brzęk kostek lodu uderzających o ścianki szklanki wypełnionej trucizną.

–Ttto pana pieczętka i podpis... – Mareczek najwyraźniej żałował, że z własnej woli zaczął grzebać w szafce.

–Co?! Kto mi zrobił to świństwo. Ja nigdy nie wystawiam rachunków. Kto wziął moją pieczętkę i mnie podpisał? – Pan Miecio rozindyczył się na dobre. – Ja i tak poznam po piśmie!

–Nnnie pozna pan – Mareczek podał pryncypałowi akta. –Ktoś... wypełnił... na maszynie...

Pan Miecio chwycił się za głowę.

–Dlaczego właśnie Zazulscy – targał sobie resztki włosów. – Jest tylu frajerów, których można oskubać, a wy jak jakie głupie, buch Zazulskich na kilka stów! Jeden dziennikarz, dwóch pracuje w magistracie, jest jeszcze prokurator i adwokat. Młody, bo młody, ale tacy najgorsi, bo chcą się wykazać. I ja mam teraz przyznać się takiej rodzinie, że ich przekreśliłem na głupie parę groszy!

Jurek wstał z krzesła i chrząknął nieśmiało.

–A może wymienicie trumnę? – zapytał. – Grobowiec Zazulskich ma piękne, kute drzwi zamykane na kłódkę, a Bibuła potrafi otworzyć każdy zamek... W sądzie powie pan, że akurat nie było takiej trumny jak trzeba albo, że drewno okazało się mieć wady ukryte i w ostatniej chwili musieliście przenieść nie-

boszczyka do innej skrzynki. A na drugi dzień po pogrzebie dokonaliście po cichu zamiany i teraz nieboszczyk spoczywa tak jak sobie życzył przed śmiercią. To może nie bardzo etyczne i niezbyt zgodne z prawem, lepsze jednak niż...

Pan Miecio spojrzał na Jurka pełnym podziwu wzrokiem.

– Ależ z pana mąciwoda – uśmiechnął się. – Ma pan rację, kiedy nie mamy argumentów, trzeba przeciwnika zarzucić sofizmatami, tak, żeby nie tylko w nie uwierzył, ale przede wszystkim, żeby ich nie zrozumiał... Pani Haniu, osobiście upoważniam panią do przeprowadzenia ekshumacji. Weźmie pani ze sobą pana Mareczka i kogoś od pana Jasia. Panna Jadzia załatwi dębową trumnę, a Krystynka skoczy po gumowe rękawiczki.

Sekretarka zbladła, a podbródek zaczął jej drżeć z irytacji.

– Ależ panie dyrektorze... – wymówiła słabym głosem. – Ja jestem wykwalifikowanym pracownikiem biurowym a nie grabarzem...

Pan Miecio spojrzał na nią i przygryzł w zamyśleniu wargi.

– Ale pracuje pani w firmie zajmującej się grzebaniem zwłok – powiedział po chwili. – A kto pracuje w brudnym biznesie, ten musi się ubrudzić. Jestem jednak szefem, który wykazuje dużo zrozumienia dla postawy pracowników, dlatego panna Krystynka oprócz rękawiczek kupi jeszcze na koszt firmy dezodorant.

Pani Hania spuściła wzrok i zaczęła nerwowo przekładać kartki na biurku. Panna Krystynka wygramoliła się ze swojego fotela, strząsnęła z sukienki okruszki herbatników.

– Jaki dezodorant kupić? – zaszczębiotała słodko.

– Bo są normalne dezodoranty i perspiranty, które powodują, że człowiek się nie poci.

Pan Miecio wbił w nią wzrok, a jego źrenice zwężyły się, jakby nie był dwunożnym ssakiem, tylko węzem.

– Pocić to wy się będziecie, że wam perspiranty nie pomogą! To wam solennie obiecuję... – wysyczał i nagle uśmiechnął się. – Oczywiście kup najtańszy moje dziecko. A co do pana – zwrócił się nagle do Jurka. – Widzi pan, że w obecnym stanie rzeczy nie jestem w stanie przeprowadzić z panem rozmowy. Niech pan przyjdzie jutro. Tylko na sto procent, bo będę musiał tu zrobić porządek i potrzebni mi będą nowi pracownicy...

Pan Miecio wskazał ręką na biuro. Pracownicy zastygli w bezruchu.

– Taaak – wyjąkał Jurek, który właśnie zastanawiał się, czy przypadkiem wszystko wokół nie jest sennym majaczeniem po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu. Przecież w rzeczywistości nikt nie wprowadziłby w życie tak idiotycznego pomysłu, który Jurek rzucił przecież dla żartu. Uszczypnął się dyskretnie w ramię. Zabolało. Wszystko wskazywało więc, że był w tzw. „realu”. W jego oczach uważny obserwator mógłby dostrzec przerażenie. Powoli ruszył w stronę drzwi.

–I niech pan zachowa w tajemnicy to, o czym dzisiaj mówiliśmy – pan Miecio rzucił w stronę wychodzącego. – Bo przecież jest pan już członkiem naszej rodziny... A takie rzeczy zostają w rodzinie...

Jurek odwrócił się w drzwiach i spojrzał w oczy właścicielowi „Świętej Pamięci”.

–Jestem jak trzy małpki – oznajmił uśmiechając się.– Nie widzę, nie słyszę, nie mówię.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi. Pan Miecio pokijał głową.

–On jest dobry – powiedział do siebie, tak, żeby usłyszeli go pracownicy. Wrócił do gabinetu i wygodnie rozsiadł się w fotelu.

–Tak on jest dobry – powtórzył. – Za dobry, żeby pracować w mojej firmie.

Jurek miał wadę, która sprawiała mu sporo kłopotów. Był bowiem nieśmiały. I to nieśmiały w bardzo dziwny sposób. Kiedy trzeba było występować w obronie innych, potrafił pokonać niechęć do publicznych wystąpień, działał nawet w czasie studiów w komisji studenckiej opiniującej podania o akademik i niejeden ubogi amator uniwersyteckiej wiedzy dzięki niemu miał gdzie spać. Walcząc o cudze dobro zapominał jednak o własnym. Mógł na przykład załatwić dla siebie jednoosobowy pokój w najlepszej bursie, lecz zawsze odkładał takie działania w nieskończoność, aż lądował w trzyosobowym pokoju

w budynku, którego ściany wybudowano z radioaktywnych pustaków. Po prostu, kiedy przyszło prosić o coś dla siebie, Jurka ogarniał niepohamowany wstyd. Nie potrafił wtedy wydusić z siebie marnych kilku zdań, które otworzyłyby mu drogę jeśli nie do wielkiej kariery, to przynajmniej do wygodnego życia. Dlatego też przez dwa miesiące przesiadywał co najmniej godzinę dziennie przed gabinetem pana Miecia i nie miał odwagi nawet przypomnieć o swoim istnieniu. Właściciel „Świętej Pamięci” nie zapominał jednak o nim. Codziennie sam, albo za pośrednictwem pani Hani przepraszał go i przekładał spotkanie na dzień następny, składając przy tym coraz to nowe, bardziej fantastyczne obietnice. Gdyby Jurek nie był urodzonym sceptykiem zapewne nie spałby po nocach, myśląc o tym co będzie, kiedy za kilka dni zostanie dyrektorem w firmie pana Miecia. Mało tego, każdego ranka pytał się swojego odbicia w lustrze, po jaką cholerę znów idzie do tego hochsztaplera? I szedł prosto do biura „Świętej Pamięci”. Przyczyna takiego schizofrenicznego zachowania była prosta. Jurek bał się wypłynąć na otwarty ocean bezrobocia i wolał zostać w zatoce, w której, co prawda, groziła mu śmierć głodowa, była jednak przytulna i znajoma. Przesiadywał więc na krzeselku w sekretariacie zgodnie z odwieczną zasadą nieudaczników, że przecież każdy kiedyś umrze, a lepiej wyzionąć ducha w miejscu, w którym znamy każdy kąt niż na obcej ulicy.

W sześćdziesiątym dniu oczekiwania Jurka na rozmowę z panem Mieciem zdarzył się wypadek, który diametralnie zmienił sytuację. Dwóch z pięciu pracowników stolarni niespodziewanie zaniemogło, trzeci przeszedł do konkurencji, a czwarty kilka dni wcześniej wyjechał w nieznanym kierunku na urlop i miał wrócić dopiero za dwa tygodnie. Prynypał biegał po biurze zdenerwowany sięjąc popłoch wśród pracownic biurowych, które obawiały się, że nagle wyciągnie w ich kierunku swój gruby paluch i każe im iść zbijać deski i malować trumny najtańszym dostępnym na rynku lakierem bezbarwnym, w którym aż bulgotało od przeróżnych toksyn i eterycznych trucizn. Ktoś na poczekaniu wymyślił mrozącą krew w żyłach historię, że pracownicy stolarni zatruli się ołowiem ze stosowanych tam farb i teraz leżą przygnieceni tym ciężkim metalem, nie mogąc nawet ręką i nogą ruszyć. Prawda była jednak inna. Z powodu głodowych pensji płaconych przez pana Miecia, stolarze stołowali się w najtańszej jadłodajni w mieście, zwanej powszechnie „Jatką Wacka”. Pan Wacek również nie lubił godziwie opłacać pracowników, więc miał poważne kłopoty z fachowym personelem i zatrudniał osoby z ulicy, bez referencji oraz aktualnych badań lekarskich. Nie mogło więc dziwić, że specjalność zakładu – kotlet mielony w 10 nazwach zawierał oprócz odpadów mięsnych, soli i rozmoczonej bułki także spore ilości salmonelli, gronkowców i bakterii coli. Pech chciał, że pomoc

kuchenna akurat kilka minut przed tym, kiedy do jatki weszli chłopcy ze stolarni pana Miecia, znalazła pod zlewem patelnię, na której leżały cztery blade bryzole. Zalegały na niej od paru dni, dokładnie nie wiadomo ilu, gdyż w trakcie dochodzenia okazało się, że przez ostatni miesiąc nikt u pana Wacka nie pracował, co jasno wynikało z dokumentów dostarczonych przez ZUS. A skoro nikt nie pracował, to również nikt nie mógł powiedzieć kto i kiedy zostawił pod zlewem wspomniane mielone. W każdym razie przez te kilka dni komórki drobnoustrojów bez przeszkód dzieliły się, tworząc nowe, identycznie płodne mikroorganizmy, czym dały niewątpliwą dowód geniuszu przyrody. Doskonałość bakterii nie szła jednak w parze z doskonałością ludzkiego układu pokarmowego, który okazał się zupełnie nieprzygotowany do pokojowego współistnienia z feerią mikrożycia. Nic więc dziwnego, że stolarze i dwaj bezdomni skierowani do lokalu pana Wacka przez opiekę społeczną, znaleźli się w szpitalu i nic nie wskazywało, że szybko z niego wyjdą.

Pan Miecio zupełnie nie wykazywał zrozumienia dla praw natury. Powiedział pani Hani o chorych pracownikach, że są mięczakami, którym byle pantofelek potrafi dokopać i że robią to celowo, żeby wpędzić go w kłopoty. Potem przez chwilę stał nad Mareczkiem, który, choć mikrego wzrostu, skurczył się do jeszcze mniejszych rozmiarów. Pryncypał nie skierował go jednak do warsztatu pana Jasia. Do-

konał najwidoczniej szybkiego podliczenia zysków i strat wynikających z takiego rozwiązania, dochodząc do wniosku, że Mareczek w stolarni zbyt drogo by go kosztował. Ryzyko było tym większe, że warsztat nie był ubezpieczony. I wtedy pan Miecio dostrzegł Jurka. Na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech.

– Och jak to dobrze, że tu pana widzę. Mam dla pana świetną pracę – mówił jaśniejac coraz bardziej. – Proszę za mną.

Stolarnia była wielkim barakiem przylegającym do muru cmentarza. Królował w niej niepodzielnie pan Jaś. Ten zwalisty mężczyzna o gołębim sercu potrafił litować się nad każdym nieudacznikiem. Jeśli więc jego podwładni źle przycięli deski i wieko wystawało o pięć centymetrów poza dolną część, kiwał flegmatycznie głową i mówił: „To się nadbije” i nadbijał własnoręcznie.

Pan Jaś słynął z tego, że każda trumna, która wyszła spod jego ręki musiała być ozdobiona aniołkami z ocynkowanej blachy. Do aniołków bowiem czuł prawdziwą słabość. Kiedy rano przychodził do pracy, pierwsze kroki kierował do starej, odziedziczonej przez pana Miecia po poprzednich właścicielach, prasy, na której wyciskał owe transcendentne istoty. To prymitywne urządzenie w sposób ostateczny rozwiązało nurtujący filozofów od tysiącleci problem płci tych bożych sług. Wytlaczane w nim skrzydlate postacie były bowiem wyposażone w obfity biust, a jed-

na z nich była nawet przewiązana sznurkiem w talii, dzięki czemu widać było pod szatą szerokie, kobiece biodra.

Upodobania pana Jasia często były przyczyną kłopotów właściciela „Świętej Pamięci”. Zdarzało się bowiem, że klient, zatwardziały ateista, nie życzył sobie aniołków, które nie należą do istot neutralnych światopoglądowo. Główny stolarz firmy nie chciał nawet o tym słyszeć. Mówił, że nieboszczykowi i tak wszystko jedno, a za aniołkami przemawia tysiącletnia, a może i starsza tradycja. Tym samym nie można pozwolić, żeby trumna była goła jak święty turecki. „Wcześniej trupem padnę!” – wykrzykiwał wtedy do pryncypała, który patrzył na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami i ulegał przemocy poglądów zwalistego chłopca. Później zakradał się do furgonetki, którą wieziono wytwór pana Jasia do domu zmarłego i wyłupywał ozdobne blachy wielkim dłutem. Dziury po gwoździach szpachlował i zamalowywał drogim, szybko schnącym lakierem, mamrocząc pod nosem wulgaryzmy, których nauczył się od grabarzy. Nie wyrzucił jednak stolarza z pracy. Miał do niego słabość natury sentymentalnej. Otóż, pan Miecio w młodości marzył, żeby być wielkim facetem. Prężył przed lustrem swoje mikre mięśnie, a przed oczami duszy widział potężne bicepsy i wspaniały byczy kark, na którego widok chłopcy z podwórka wrzeszczą z przerażenia i zwiewają pod skrzydła równie przestraszonych,

tlustych mamuś. Kiedy kilka lat temu spotkał pana Jasia stanął jak wryty. Zobaczył bowiem siebie z lustra. Od tego czasu gotów był wiele wybaczyć stolarzowi. Tym bardziej, że bardzo marnie mu płacił.

Pan Jaś flegmatycznie przycinał deskę, która miała w niedalekiej przyszłości zwieńczyć wieko trumny.

–Panie Jasiu mam dla pana nowego pomocnika – oznajmił Pan Miecio radośnie. – Panie Jurku, przedstawiam panu najlepszego stolarza w mieście, a może nawet w kraju.

Majster od drewna spojrzał obojętnie na świeżo upieczonego pracownika zakładu pogrzebowego, po czym wrócił do swojego zajęcia.

–Niech pan się czuje jak u siebie – dyrektor Wróbel zachęcił Jurka do objęcia nowych obowiązków. – Popracuje pan tu kilka dni, a potem mam dla pana ekstra stanowisko...

Tak zaczęła się wielka kariera Jurka w „Świętej Pamięci”.

Rozdział 2

Kariera

Zapału do pracy mógłby pozazdrościć Jurkowi niejeden stachanowiec. Kiedy nazajutrz zjawił się w stolarni wprost kipiał energią. Przez głowę przełykały mu jak błyskawice projekty trumien. Przed oczyma duszy widział skrzynie półokrągłe, z podwójnie otwieranym wiekiem, prostopadłościennie z ozdobnymi gzymsikami, czy wreszcie klasyczne, zwężające się tam, gdzie powinny leżeć nogi nieboszczyka. Jedne ze szlachetnego mahoni, inne hebanowe, wszystkie ze złożonymi, srebrzonymi, a dla wybranych również platynowanymi uchwyta-
mi. Dokładnie takie jakie podziwiał wczoraj wieczorem we francuskich i włoskich katalogach pożyczonych z biurka pani Hani.

Po kilku minutach myszkowania po warsztacie przeżył pierwsze rozczarowanie. Nie znalazł tam bowiem egzotycznych gatunków drewna. Jedyne w kącie, leżała przysypana wiórami sterta sosnowych, źle oheblowanych desek.

–Co mam robić? – zapytał pana Jasia.

Stolarz wzruszył ramionami i pochylił się nad prasą. Naciskał raz po raz wajchę i wyciągał spod formy aniołki. Kiedy wbijał w nie wzrok, sprawdzając, czy nie mają jakiejś wady, uśmiechał się anielsko. Jurek poczuł się bardzo samotny. Podszedł do stojącej pod ścianą, zapomnianej heblarki. Podobną miał sąsiad jego mieszkających na wsi dziadków. Jej wycie budziło go we wakacje o siódmej rano, wywołując napady wściekłości i niekłamaną chęć odwetu. Potem jednak odkrył dobre strony maszyny. W żniwa, kiedy sąsiad nie miał czasu, można było dzięki niej zarobić na wakacyjny wyjazd. Jurek strugał więc deski na podłogi w nowo budowanych domach okolicznych lekarzy i krawędziaki na romantyczne altanki. Dźwięki jakie wydawała przestały mu całkowicie przeszkadzać.

Widok heblarki trochę go wzruszył. Zdjął z niej zakurzoną plandekę i raźnie przystąpił do uruchamiania. Sprawdził czy kabel jest bezpiecznie podłączony do silnika, pomacał pasek klinowy i zerknął, czy ktoś nie wrzucił do wnętrza urządzenia jakiegoś dłuta czy młotka. Wepchnął wtyczkę do gniazodka i delikatnie nacisnął guzik, pod którym widniał częściowo starty napis „start”. Silnik zabuczał, po czym zaczął pracować z cichym szmerem. Jurek chwycił deskę i wsunął jej koniec do heblarki. Maszyna zawyla i na ziemię zaczęły się sypać wióry. Pan Jaś podbiegł ręczo, jak na jego zwalistość, i sprawnie wyłączył urządzenie.

–Co pan robisz – prawie krzyczał. – Po co pan to ruszasz? Co zrobimy jak to się zepsuje? A ile to prądu żre? A po co nieboszczykom oheblowane deski?

Jurek podrapał się po głowie, nie wiedząc jak zareagować na zarzuty przełożonego. Stolarska logika wydawała mu się równie egzotyczna jak heban i mahoń.

–W porządku, ale może mi pan w końcu powie, co mam robić? – zapytał.

–Jaja drobić – niespodziewanie zażartował po chłopsku pan Jaś.

Przez kilka dni praca Jurka polegała na tym, że był obecny w baraku. Poza tym nie robił nic, gdyż pan Jasio nie pozwolił mu przycinać desek, a nawet malować gotowych trumien. Zbijanie bąków bardzo go irytowało, gdyż zawarł z właścicielem „Świętej Pamięci” ustną umowę, że na razie będzie otrzymywał pieniądze za trumny, do których powstania się przyczyni. Postanowił więc zostać w stolarni po fajrancie, kiedy pan Jaś strudzony wytłaczaniem aniołków uda się na zasłużony odpoczynek. Na początek chciał zrobić prostopadłościenną trumnę z ozdobnymi listwami dookoła podstawy i płaskiego wieka. Podobną widział we włoskim katalogu. Jej nazwę przetłumaczył sobie jako „Duma Florencji”.

Najlepsze pióro nie jest w stanie opisać długich godzin zmagania Jurka z oporną materią drewna. Nie sposób wysłowić jego metafizycznego lęku, że dzieło okaże się tylko karykaturą tkwiącej w mózgu wizji.

Świtało, gdy ostatni raz maźnął pędzlem. Był zmęczony. Najchętniej sam położyłby się w tej trumnie, żeby dać wieczne wytchnienie strudzonemu ciału. Nie zrobił tego tylko z jednego powodu – był cały zakurzony i z pewnością zabrudziłby białe obicie wewnątrz skrzyni. Tymczasowo więc przygotował sobie legowisko na kupie trocin. Przykrył się starym kocem i zasnął.

Obudziły go dziwne odgłosy, które kilka godzin później wypełniły stolarnię. Kiedy otworzył oczy zobaczył pana Jasia, który nerwowo krążył dookoła zrobionej w nocy skrzyni. Burczał przy tym pod nosem i kręcił w zdenerwowaniu głową, a w dłoniach ścisnął dłuto i młotek. Jurkowi krzyk zamarł w gardle, kiedy zobaczył, że stolarz najwyraźniej zabiera się do demontowania ozdobnych listew z wieka. Nim jednak miłośnik aniołków rozpoczął dzieło destrukcji, drzwi do baraku otworzyły się, wpuszczając do wnętrza światło poranka.

–Oto nasza stolarnia – oznajmił pan Miecio dystygowanej parze w średnim wieku. – Zatrudnieni tu specjaliści spełnią wszystkie państwa życzenia. A to nasz główny fachowiec, pan Jaś – wskazał na zwalistego stolarza. – Panie Jasiu, trzeba będzie zrobić trum...

Wypowiedź pryncypała urwała się w pół słowa. Z niedowierzaniem patrzył na skrzynię zrobioną w nocy przez Jurka.

–Panie Jasiu... Panie Jasiu... – szef zabelkotał z lekka nieprzytomnie. – Pan to zrobił?

–O, właśnie chcemy coś takiego – powiedziała nagle kobieta wskazując na trumnę.

–Oczywiście – pan Miecio nagle odzyskał energię.

– Niestety, to kosztuje nieco drożej niż standard...

–Proszę pana, na mamusi nie zamierzam oszczędzać – kobieta rzuciła przedsiębiorcy pogardliwe spojrzenie. – Ona była niezwykłą kobietą i podobałaby się jej taka ekstrawagancja. Prawda Zdzisiu?

Towarzyszający jej mężczyzna patrzył na trumnę obojętnym wzrokiem.

–Oczywiście kochanie. Nikt tak jak ja nie miał okazji się przekonać, że była niezwykłą kobietą – powiedział spokojnie.

–W takim razie państwo przejdą do biura załatwić formalności – pan Miecio uśmiechnął się promiennie wskazując wyjście.

Kiedy znikli za drzwiami pan Jaś chwycił się za głowę, po czym zawył i rzucił dłutem i młotkiem o ścianę.

–Zabiję gówniarza! – ryknął potężnie.

Przez długą chwilę miotał się pomiędzy trumną a warsztatem. Zatrzymał się nad leżącą na metalowym taborecie siekierą. Wolno podniósł ją i w przypiływie szaleństwa wzniósł nad głowę. Zbliżył się wolno do dzieła Jurka, zamierzając najwyraźniej spuścić na nie topór z całą siłą swoich mięśni.

–Stój na Boga! – pan Miecio nagle pojawił się w drzwiach.

Stolarz zastygł w bezruchu, po czym gwałtownie odwrócił się w stronę szefa.

–Widział pan co on mi zrobił?! – wyrzucił z siebie drżącym od emocji głosem.

–Zrobił trumnę – pan Miecio wzruszył ramionami.

–On chce mnie zniszczyć! – pan Jaś potrząsnął siekierą, jak Janosik ciupagą. – Chce zająć moje miejsce. Planuje mnie stąd wygryźć!

–Ależ co pan, panie Jasiu – pryncypał zrobił najbardziej niedowierzającą ze swoich min. – Chłopak zrobił jedną trumnę. Chciał się po prostu wykazać, jak każdy nowy.

–Co pan mówi! – stolarz popatrzył na szefa z wyrzutem. – Kiedy młodzi tu przychodzą, to najpierw noszą za mną narzędzia, potem przygotowują deski, żebym mógł je przyciąć i co najwyżej malują gotowe trumny. Dopiero po kilku miesiącach mogą samodzielnie przybijać gwoździe... A ten co?! Wie pan co zrobił w pierwszy dzień?! Uruchomił heblarkę!

–Rzeczywiście trochę dziwny jest... – pan Miecio pokiwał głową w geście zrozumienia dla racji pracownika.

–Dziwny?! – pan Jaś zdenerwował się. – On spiskuje przeciwko mnie! Nie rozumie istoty pracy w stolarni, a chce pokazać, że jest lepszy ode mnie. A cóż on wie o przycinaniu desek! Ja to robię od lat. Tnę, zbijam, kleję, szlifuję! Kiedy puknę w drewno, to po dźwięku jaki wyda poznaję, czy się nadaje na trumnę, czy nie. A on? Efekciarstwo i tyle! Kształtem chce zaskoczyć, omamić klienta, narzucić mu swój gust i wolę! A gdzie tradycja, gdzie ustalony

przez lata porządek rzeczy i klasyczna forma?! Wie pan ilu nieboszczyków leży w takich trumnach, jakie ja robię? Cały cmentarz! A w jego? Nikt! To jaka trumna jest wygodniejsza i bardziej odpowiada klientom? No niech pan sam powie?

–Oczywiście, że pańska – przytaknął taktownie pan Miecio.

W oczach pana Jasia nagle pojawiły się łzy. Rzucił się na przedsiębiorcę i obejmując go szłochał mu do ucha.

–Niech pan się go pozbędzie – jęczał. – On zniszczy firmę. Zniszczy tradycję naszego rzemiosła. Będzie kokietował i uwodził klientów, a wie pan, jaką oni mają słabą wolę. Są jak napalona małolata, której zwisa piękno intelektu, a liczy się tylko marka samochodu!

–Panie Jasiu, niech się pan uspokoi – pryncypał zaczął gładzić go po głowie. – Jeszcze dzisiaj wezmę go od pana.

–Panie Mieciu, niech pan patrzy jaka niesprawiedliwość – szłochał dalej stolarz. – Tyle lat pracy, tyle wysiłków, solidności, a tu przychodzi jakiś gówniarz i chce wszystko mieć od razu. Czy to sprawiedliwe?

–Niech pan zapamięta, panie Jasiu – rzucił szef stanowczym głosem. – Sprawiedliwość w tej firmie to ja, a ja nie pozwolę, żeby mi jakiś nowy krzywdził starych pracowników. No panie Jasiu, niech pan sobie coś golnie na ten stres. Wyjątkowo dzisiaj panu postawię.

Pan Miccio wyzwolił się z objęć stolarza i poklepując go i głaszcząc wyprowadził z baraku. Jurek wygrzebał się spod koca. Strząsnął z ubrania trociny. Westchnął głośno i ruszył do wyjścia.

* * *

–No cóż... Panie Jureczku, chciałbym, żeby choć dwóch moich stolarzy umiało tak robić trumny jak pan – dyrektor Mieczysław Wróbel wolno kręcił się w fotelu obrotowym za biurkiem w swoim gabinecie. – Ale widzi pan, żeby robić fikuśne skrzynki i wieka trzeba pomyśleć, poeksperymentować i zdarzyć się może, że coś nie wyjdzie. Tymczasem moi chłopcy mają w małym palcu wymiary klasycznych trumien. Z zamkniętymi oczami mogą przycinać, zbijać, heblować. Pan robi jedną, a oni w tym czasie pięć. Zresztą to się panu nie opłaci, bo obojętnie co pan zrobi i ile czasu to panu zajmie dostanie pan tyle samo. A sławy wśród klientów też pan nie zyska. Produkty naszej stolarni są oglądane tylko dzień, dwa. Potem wszystko idzie do ziemi, a co z oczu, to i z serca. Rozumie pan?

Jurek zrobił mądrą minę i wygodniej rozparł się w fotelu po drugiej stronie biurka.

–W zasadzie nadążam – oznajmił.

–Przyjemnie rozmawiać z inteligentnym człowiekiem – pan Miccio rzucił od niechcienia komplement.

– Pan się po prostu marnuje przy pracy fizycznej. Dlatego mam dla pana lepsze zajęcie. Rozpoczyna-

my nową usługę dla ludności i tu widzę duże pole do popisu dla pana. Naród mamy nierozgarnięty, żeby wprost nie powiedzieć głupi. Analfabetyzm szerzy się niczym epidemia grypy. Ludzie mówią monosylabami, a kiedy już powiedzą jakieś zdanie, to można w nim usłyszeć co najmniej trzy błędy językowe. Dlatego stają bezradni, kiedy umrze im ktoś bliski i trzeba powiedzieć parę słów na pogrzebie. Po prostu coraz więcej ludzi nie ma w rodzinie i w kręgu znajomych nikogo, kto wygłosiłby choć kilka sensownych zdań nad trumną. Niedawno pewien staruszek z klubu emerytów „Długowieczność”, tak zęgnął kolegę, że cały cmentarz pokładał się ze śmiechu. Brzmiało to tak: „Dzisiaj, panie, zęgnamy, panie, tego, panie, naszego, panie, przyjaciela, panie”... A jak się zaciął, to „panie” powtórzył pod rząd 7 razy. Od tej pory na pogrzebach członków klubu, których było już ze cztery, nikt nie chce zabrać głosu. I w tej działce mógłby się pan wyżywać. Będzie miał pan biurko w sekretariacie i dostęp do telefonu. Co pan na to?

–Ja miałbym najpierw przygotowywać mowę, a później ją wygłaszać? – Jurek wbił wzrok w oczy pana Miecia.

–Dokładnie – przedsiębiorca uśmiechnął się.

–Mogę spróbować – Jurek spuścił oczy.

–To bardzo się cieszę – pan Miecio westchnął głośno. – Wie pan, w młodości byłem taki jak pan. Też nie potrafiłem sobie miejsca znaleźć. Zawsze chciałem czegoś więcej niż miałem, sięgać ponad

głowy środowiska. Zacząłem studiować filozofię, gdyż wierzyłem, że w pismach myślicieli znajdę odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, a czoło otoczy mi nimb mądrości. W tych poszukiwaniach tak się zapamiętałem, że z rozpędu zrobiłem doktorat i habilitację. I nastąpiła katastrofa... Kilka lat temu zrozumiałem nagle, że tyle lat ślęczenia nad rozprawami ojców filozofii niewiele mi dało, bo mój światopogląd jest zdominowany przez pragnienie zaspokajania potrzeby przyjemności. Po prostu niewiele mnie obchodziła cała ta nadęta metafizyka i wysublimowany racjonalizm. Kiedy to do mnie dotarło wpadłem w depresję. Ja, człowiek bez wątplenia wyjątkowy, bo tylko wyjątkowi ludzie wiedzą o co chodziło Kantowi, Heglowi czy Heideggerowi, nagle ma w nosie całe niebo gwiazdzone nad Królewcem. Doszło do tego, że więcej przyjemności sprawiały mi książki MacLeana czy Forsytha niż studiowanie Lewiatana Hobbesa, a wieczór w agencji towarzyskiej miłszy był od popołudnia spędzonego w bibliotece! Czy zdaje sobie pan sprawę, jaka to tragedia dla myśliciela?! Z każdym dniem czułem coraz większą niechęć do świętego Tomasza, Arystotelesa i Kartezjusza. Święty Augustyn i scholastycy działali na mnie jak środek nasenny. Walczyłem jeszcze, żeby choć zostać epikurejczykiem, a nie upaść na samo dno hedonizmu. Na próżno. I kiedy miałem już ze sobą skończyć jak Sokrates, serce mojego kolegi okazało się zbyt

wrażliwe na te ciężkie czasy. Poszedłem na pogrzeb i wtedy doznałem olśnienia. Stojąc nad otwartym grobem dotknął mnie powiew metafizyki. Na nowo pojawiły się we mnie podstawowe pytania filozofii o byt, Boga, śmierć. W środku dnia pojawiło się nad moją głową niebo gwieździste! Dlatego też jak pan widzi jestem teraz przedsiębiorcą pogrzebowym.

–Nie jest pan już hedonistą? – Jurek uśmiechnął się.

–Dzięki mojej pracy udaje mi się zachować równowagę między metafizyką a cielesnymi przyjemnościami – Pan Miecio wyduł wargi. – No, czasem, nocami bywa z tym różnie. Na przykład budzę się nad ranem i wiem, że zaznam szczęścia, kiedy zjem tabliczkę czekolady. I jeszcze nie udało mi się powstrzymać zaspokajania takiej potrzeby.

–Nie powinien mi pan o tym mówić – Jurek spojrział przedsiębiorcy w oczy.

–Uważa pan takie wyznania za zbyt intymne? – pan Miecio pokręcił głową. – To bardzo niewinna słabość, a właśnie przez słabości stajemy się bardziej ludzcy. Gdybym pozował tu na posągowego filozofa z podręcznika, to bałby się pan ze mną rozmawiać. Nieprawdaż?

–Rzeczywiście nie lubię filozofii – Jurek pokazał zęby w uśmiechu.

–To dobrze, na pewno jest pan dzięki temu szczęśliwszy – postawił diagnozę przedsiębiorca.

Jurek rozłożył ręce.

–Z pewnością nie tak szczęśliwy, jak pan podczas pochłaniania tabliczki czekolady – powiedział.

Rozdział 3

Praca

W poniedziałkowy poranek pracownicy sekretariatu patrzyli ze zdumieniem na Jurka drepczącego za panem Mieciem.

–Gdzie by pana posadzić... – zastanawiał się głośno przedsiębiorca. Zatrzymał się obok biurka pani Hani i nerwowo bębnił palcami o blat. – Tego nie ma? – zapytał nagle wskazując na miejsce pracy Mareczka.

–Spóźni się, bo mają mu dziś przywieźć kafelki – wyjaśniła usłużnie sekretarka.

–To dobrze – pan Miecio rozpromienił się. – Wywrzucie jego graty. Pan Jurek będzie tu urzędował. A Mareczek jako półmężczyzna przeniesie się do panny Krysi. Jako że ona jest tylko półkobietą z ewnością się pomieszczą razem.

Pryncypał zachichotał. Zawtórowała mu pani Hania i Jadzia. Krysia zaś wykrzywiła usta w podkówkę. Na twarzy Jurka pojawił się rumieniec.

–No na co pan czekasz? – pan Miecio sam zabrał się do przerzucania teczek i kartek zalegających biurko Mareczka. – To teraz pana biurko... Może pan zaczynać od razu...

–Wolałbym od jutra panie dyrektorze, mam do załatwienia jeszcze kilka zaległych spraw - oznajmił nowy pracownik.

* * *

Nazajutrz rano Jurek radośnie zmierzał do biura. W kiosku kupił gazetę, w której na pierwszej stronie duże litery głosiły, że seryjny morderca, zwany przez dziennikarzy i policjantów Maniusiem–Brzytewką, znowu uderzył. Tym razem rozpruł znanego w mieście producenta ketchupu. Świeżo upieczony autor mów pogrzebowych skrzywił się. Był przekonany, że w „Świętej Pamięci” będzie musiał cały dzień wysłuchiwać detektywistycznych spekulacji znużonych pracowników pana Miecia. Kiedy zatrzymał się przed drzwiami sekretariatu usłyszał jednak fragment rozmowy na całkiem inny temat.

–No i po co go przyjął, przecież ja bym to lepiej od niego robił, tylko musiałbym dostać podwyżkę – mówił Mareczek pewnym siebie głosem.

–Nawet Krysia by potrafiła takie coś napisać, gdyby tylko jej się chciało – wtórowała mu pani Hania.
– Szef po prostu chce nas zastraszyć, bo wiecie, że on ma manię, że go wszyscy okradają.

–Ten nowy do nas nie pasuje– włączyła się do rozmowy Jadzia. – Patrzy tak dziwnie. Jest wciąż

uśmiechnięty, nie odzywa się. Po prostu zadziera nosa.

–A mnie się podoba – powiedziała Krysia.

–Tobie się każdy podoba, byle portki nosił – skontrowała sekretarka.

Jurek nacisnął klamkę. Drzwi otwarły się z lekkim skrzypem.

–Dzień dobry – powiedział wchodząc do środka.

Nikt nie odpowiedział na przywitanie. Starzy pracownicy „Świętej Pamięci” wbili oczy w różnego rodzaju dokumenty lub gazety. Autor mów pogrzebowych usiadł za biurkiem, które wczoraj przygotował dla niego pan Miecio. Poczul na plecach jadowite spojrzenie Mareczka, który musiał teraz dzielić blat z Krystynką. Uśmiechnął się. Uśmiechał się nawet wtedy, gdy czytał artykuł o straszliwej zbrodni dokonanej przy pomocy brzytwy. Nie przypuszczał, że zamordowanym jest jego pierwszy w „Świętej Pamięci” klient.

* * *

–Jak się pan czuje w firmie? – zapytał pan Miecio, kiedy Jurek wszedł do jego gabinetu.

–Trochę dziwnie, to naprawdę niesamowite biuro – powiedział siadając w fotelu.

–Cóż, nie zajmujemy się tu kiszeniem ogórków – roześmiał się pryncypał. – Myślę, że zaraz poczuje się pan tu jak w domu, mam bowiem dla pana pierwsze bojowe zadanie. Słyszał pan już zapewne

o ostatniej zbrodni Maniusia Brzytewki? Koszmar... Prawie co noc śni mi się, że mnie zwiążuje, a później goli połowę głowy. Na szczęście, kiedy nachyla się nade mną, żeby mi rozplątać brzuch, budzę się z krzykiem...

Pan Miecio skrzywił się boleśnie, walcząc z nieprzyjemnym wspomnieniem.

–A wie pan, może to przypadek, ale Maniuś zabija tylko przedsiębiorców – powiedział niespodziewanie Jurek.

Pan Miecio spojrzał na niego z wyrzutem.

–I pan mi takie rzeczy... przed obiadem... – wystękał. – Czy pan mi sugeruje, że ja też... Też mogę...

Jurek gwałtownie uniósł ręce i wykonał nimi na wysokości klatki piersiowej przeczący znak.

–Ja tylko z troski i z nie mniejszym przerażeniem niż pan dyrektor – wyrzucił z siebie. – Myślę jednak, że biznesmeni znajdują się w grupie podwyższonego ryzyka. Pan należy do grona znanych biznesmenów w naszym mieście, powinien więc pan na siebie uważać...

Pan Miecio pokiwał głową.

–Moja mama też mi to mówiła – powiedział w zamyśleniu. – Ale co ja mam zrobić? Goryla sobie wynająć? Od razu zaczną się plotki... Zresztą z czego mu płacić, kiedy ciągle firma jest na minusie... A właśnie wezwałem pana, bo dostałem zamówienie na mowę pogrzebową. Otóż, żaden z przyjaciół zamordowanego Zbyszka Przyjemskiego nie chce wystąpić na

pogrzebie. Po prostu mają cykora, że Brzytewka na nich zwróci uwagę, kiedy będą eksponować swoją elokwencję nad trumną. I tu jestem w stanie ich zrozumieć, gdyż jeśli morderca czuł antypatię do ofiary, a musiał czuć, skoro ją tak pochlastał, to takie uczucie może przenieść się na bliskich przyjaciół Zbycha. A kto wygłasza mowy na pogrzebie?

Jurek zbladł, poczuł, że pocał mu się dłonie.

–Dziękuję panie dyrektorze za zachętę. Dodał mi pan skrzydeł – powiedział z przekąsem.

Pan Miecio wzruszył ramionami.

–Maniś to inteligentny facet, wie, że jest pan tylko pracownikiem najemnym i z pewnością nie powiąże pana z ofiarą – próbował uspokoić pracownika.

–A wie pan dlaczego go nazywają Maniś? – Jurek pociągnął smutno nosem. – Najpierw nazwali go Maniak, co ktoś nieświadomy przekręcił na Maniek. Tak już jest, że takich psycholi zawsze nazywają zdrobniale, więc zdrobnili na Maniusia.

Pryncypał podrapał się po głowie.

–Sugeruje pan, że jest nieobliczalny? – przygryzł wargi. – Na dobrą sprawę wszyscy jesteśmy nieobliczalni i jesteśmy w pewnym sensie maniakami. Musi pan więc okazać więcej wyrozumiałości...

Jurek westchnął.

–Z brzytwą w brzuchu – spuentował.

Pan Miecio uniósł brwi.

–Niech pan tyle nie filozofuje – powiedział stanowczym głosem, podnosząc z biurka kartkę. – Tu ma

pan adresy rodziny i przyjaciół Zbycha, oni panu wyłuszczą, co trzeba powiedzieć w przemówieniu, a pan to później ładnie sformułuje. Aha, pogrzeb będzie za trzy dni, chyba że policja dłużej zatrzyma ciało, ale na to się nie zanosi.

* * *

Rezydencja przy ul. Mahoniowej przypominała baśniowy pałac. Usytuowana na niewielkim wzniesieniu była widoczna z ulicy, pomimo wysokiego muru okalającego posiadłość. Jej właścicielem był Stanisław Kroczyński, który, w przeciwieństwie do prawie wszystkich bogatych ludzi w mieście, uważany był za człowieka bez skazy. Pracownicy jego firm gotowi byli na skiniecie szefa oddać mu swoje nerki i córki albo pobić kijami baseballowymi wrogów. Staś jednak nie kiwał na nich. Płacił im za to bardziej niż godziwie, stworzył fundusz socjalny, dzięki któremu mogli wypoczywać w kurortach o jakich nie śniło się pracownikom „Świętej Pamięci”, nawet wykupił im dodatkowe ubezpieczenie emerytalne w międzynarodowym funduszu inwestycyjnym. Do tego uczciwie rozliczał się z podatków i pilnował, by w jego zakładach były przestrzegane przepisy bhp i prawa pracy. Mimo to osiągał tak duże zyski, że konkurencja spreparowała plotkę, iż jest bankierem mafii, która w jego spółkach pierze brudne pieniądze. Przedsiębiorca uśmiechał się słysząc takie pomówienia i spokojnie finansował kolonie dla dzieci z ubogich rodzin.

Dobrze powodziło mu się nie tylko w interesach. Był również szczęśliwym małżonkiem i ojcem. To właśnie dla żony, pochodzącej ze znanej arystokratycznej rodziny, wybudował kopię pałacu, zarekwirowanego przez władzę radziecką na dalekich Kresach jej pradziadkowi. Kroczyński finansował również badania naukowe, które prowadziła w miejscowym uniwersytecie. Dzięki płynącemu wartko strumieniowi gotówki osiągała tak obiecujące wyniki, że według zagranicznych specjalistów, za jakiś czas jej kandydatura mogła zostać zgłoszona do nagrody Nobla. Była przy tym niezwykle atrakcyjna fizycznie. Choć miała już prawie 40 lat, najdroższe callgirl wyglądały przy niej jak sierotki Marysie. Jej koleżanki były przekonane, że jest to zasługa corocznych kuracji w piekielnie drogiej szwajcarskiej klinice, której pacjenci mogli liczyć na długą młodość i dyskrecję. Ich jedyny syn, Staś junior poszedł w ślady rodziców. Był dzieckiem wybitnie uzdolnionym i w wieku 13 lat został zaproszony na studia w jednym ze słynnych amerykańskich uniwersytetów. Władał biegle siedmioma językami i pisał programy komputerowe, które sprzedawał wielkim firmom. Zarobionymi w ten sposób pieniędzmi grał na największych światowych giełdach pomnażając swój majątek w zawrotnym tempie. Do tego jak przystało na młodego arystokratę po kądzieli świetnie jeździł konno. Dobrze grał również w tenisa i golfa.

Nic więc dziwnego, że ten idealny biznesmen, oprócz bezkrytycznych wyznawców, którym sownie płacił, miał całą armię nieprzyjaciół. Nienawidzili go urzędnicy, którym nigdy nie dawał łapówek, przedsiębiorcy, nie potrafiący, pomimo różnych kombinacji, zarobić tyle co on, mężowie, których żony nabrały obłych kształtów, rodzice przekazujący w genach dzieciom iloraz inteligencji niewiele przewyższający 100 punktów, a nawet arystokraci, wyprzedający z biedy ostatnie pamiątki po przodkach.

Jurek czuł się nieswojo w ogromnym, wyłożonym różnobarwnym marmurem hallu, którego strop podpierało dwanaście kolumn. To nie było naturalne miejsce dla faceta, który przez kilka miesięcy nie mógł znaleźć pracy i mieszkał w wynajmowanej norze na poddaszu, gdzie podłoga była wyłożona popękanym gumolitem. Żałował, że nogawki jego spodni nie są szerokie. Tak szerokie, żeby zakryły podniszczone buty.

Na schodach, na których z powodzeniem można by sfilmować remake finałowej sceny z „Przeminęło z wiatrem”, pojawił się Kroczyński. Miał na sobie dżinsy i sprany podkoszulek, a na nogach znoszone japonki.

–To z panem umówiłem się na rozmowę o Zbychu... – od razu przeszedł do rzeczy, pokazując drzwi do biblioteki – Wejźmy tam.

Regały zapchane tysiącami tomów zachwyciły Jurka. Patrzył na grzbiety książek z uwielbieniem i zazdrością.

–Czego się pan napije? – gospodarz nachylił się nad barkiem, w którym stało kilkanaście butelek szlachetnych trunków. – Pora zawsze jest odpowiednia na whisky.

Jurek z trudem oderwał wzrok od pólek.

–Jak pan uważa – powiedział z lekka nieprzytomnie. – Ma pan wspaniałą bibliotekę.

–Dziękuję, ale to zasługa żony, ja się na tym nie znam – Kroczyński uśmiechał się nalewając trunek do szklanek. – Co najwyżej od czasu do czasu czytuję poezje uznanych autorów. Nic tak nie gimnastykuje umysłu, jak analiza precyzyjnego myślowo wierusza... Z wodą mineralną, czy po plebejsku z pepsi?

–To chwalebne hobby – Jurek pokiwał głową z podziwem. – Oczywiście z pepsi.

Przedsiębiorca wręczył mu drinka i wskazał wielki skórzany fotel.

–Mam panu opowiedzieć o Zbychu... powiedział siadając naprzeciwko Jurka. – Nie będę pana okłamywał, że był cudownym człowiekiem, bo i tak pan to powie na cmentarzu. Mam jednak nadzieję, że uniknie pan całkowitego banału. On był człowiekiem, w którym można było dostrzec więcej zła niż dobra. Zapewne powiedziano panu, że przyjaźniliśmy się... To był raczej sentyment przeszłości. Mieszkaliśmy w tym samym małym miasteczku, chodziliśmy do tej samej klasy w liceum... Kochałem w nim przeszłość, negowałem teraźniejszość.

–Nie bardzo rozumiem – Jurek rozłożył bezradnie ręce.

–To tak, jak z kobietą, której mąż okazał się być sadystą. – Kroczyński spojrzał w oczy rozmówcy. – Wspomina romantyczne randki i wierzy, że jej męczyzna się poprawi i znów będzie, jeśli nie cudownie, to chociaż poprawnie. Zbychu po prostu miał rozchwianą osobowość. Nie potrafił panować nad emocjami. Wszystko chciał dostać już, teraz. Jeśli mu się to nie udawało zaczynał przeżywać głęboką frustrację, którą wyładowywał na wszystkich dookoła. Pracownikach, rodzinie, znajomych. Irytowało mnie to, lecz kiedy miałem go dość przypominałem sobie wspólne mecze, wyjazdy wakacyjne, ogniska... I byłem w stanie dużo mu wybaczyć. Nawet szyte grubymi nićmi intrygi przeciwko mnie.

–Nienawidził pana? – Jurek uśmiechnął się.

–Myślę, że bardzo – przedsiębiorca wbił wzrok w jakiś nieokreślony punkt za oknem. – Szydził ze mnie, że wybudowałem ten dom, sam zaś snuł plany kupienia dworu lub pałacu pod miastem. Brakowało mu jednak forsy. Kiedyś zresztą zaproponowałem mu pożyczkę na ten cel. Myślę, że chciał mnie wtedy zabić. Potem zaczął robić coraz bardziej niejasne interesy, żeby szybko zarobić wielkie pieniądze. Obracał się w podejrzanym towarzystwie. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

–Może gdyby pan nie wybudował pałacu żyłby jeszcze? – Jurek sam wydawał się być zdziwiony, że zadał to pytanie.

–Zapewne – Kroczyński przygryzł górną wargę. – Kiedy postanowiłem wznieść ten dom przyświecały

mi dwa cele. Sprawić niespodziankę żonie i wprawić we wściekłość tych, którzy bezinteresownie rzucali mi kłody pod nogi, kiedy zaczynałem biznes. Sukces jest bowiem najlepszą zemstą. A dla maluczkich sukces to wielka chałupa z kolumnami w drogiej dzielnicy i ogromny samochód z szoferem. Chciałem się odegrać, a sam skazałem się na cierpienie. Nie pasuję do tego domu. Przytłacza mnie. Jak pan widzi, moje ubranie oddaje dysharmonię jaka panuje między mną a tymi murami. Gdyby nie sentymenty żony, dawno zrobiłbym tu jakieś muzeum i zamieszkałbym w zwykłym parterowym domku z ogródkiem... Poza tym whisky rozcieńczaną wodą uważam za świństwo. Nie mam więc nic wspólnego z gentlemanem.

–Tylko co ja mam napisać o Zbychu? – Jurek poikiwał smutno głową. – Że dla niego liczyła się tylko forsa? I miał manię pokazywania, że jest bogaty?

–Myślę, że powinien pan wspomnieć o tym, że w młodości był wspaniałym chłopcem, prymusem w szkole – Kroczyński uśmiechnął się. – Rewelacyjnie grał w piłkę i podrywał dziewczyny. W dorosłym życiu nie każdemu udaje się spełnić marzenia. I jemu się nie udało, choć były niewyszukane.

–Mógłby pan sam napisać przemówienie... – Jurek spojrzał uważnie na przedsiębiorcę.

–Staram się unikać kłamstwa, a nie oszukujmy się, to co pan powie, będzie mniejszym lub większym łgarstwem –oznajmił Kroczyński. – O umarłych do-

brze albo wcale. Pan może mówić tylko dobrze, za to przecież panu płacą.

–To dlaczego tyle złego powiedział pan o Przyjemskim? – zapytał Jurek.

–Uważam, że wszystko co robimy musi być prze-myślane – przedsiębiorca uśmiechnął się. – Cóż to za zbrodnia, jeśli nie jest świadoma? A pan decydując się na tę pracę, został zbrodniarzem. Z aprobatą wszystkich dopuszcza się pan mordy na prawdzie.

–To będzie moja pierwsza mowa – Jurek zaczął wiercić się w fotelu.

–To dobrze, już na początku uniknie pan pułapek nadmiernego entuzjazmu – Kroczyński wstał i podszedł do barku. – Napije się pan na drugą nogę?

–Dziękuję, muszę odwiedzić jeszcze kilka osób – Jurek podniósł się z fotela. – Jestem wdzięczny, że poświęcił mi pan tyle czasu.

–Nie ma sprawy – gospodarz odprowadził pracownika „Świętej Pamięci” do drzwi. – Z uwagą będę słuchał pana wystąpienia. Może znajdę w nim coś, co zmieni moje życie.

* * *

Dom Przyjemskiego nie wyglądał imponująco. Kanciasty, przypominający bunkier, budynek z dobudowanym ogromnym tarasem stał na niewielkiej działce tuż przy ruchliwej drodze. Jurek długo musiał wciskać przycisk dzwonka nim drzwi otworzyły się i wyjrzała zza nich rozczochrana brunetka w po-miętym, jedwabnym szlafroku.

–Jestem ze „Świętej Pamięci”, telefonowałem do pani rano – krzyknął przez ogrodzenie mówca pogrzebowy.

Kobieta wolno zeszła ze schodów i kluczem otworzyła bramkę.

–Domofon mamy zepsuty – burknęła przepraszając i ruszyła w stronę domu. Jurek podążył za nią.

–Mój mąż był cudownym człowiekiem – mówiła nerwowo, siedząc naprzeciw Jurka przy stole w kuchni. – Dla mnie i dla dzieci zrobiłby dosłownie wszystko. Miał niesamowite powodzenie u kobiet. Wszystkie na niego leciały. A on nawet na nie spojrzał. Rozumie pan? Dla niego liczyła się tylko rodzina. To dla nas został biznesmenem, choć był taki zdolny i mógłby zrobić karierę jako naukowiec. Harował od świtu do nocy, żebyśmy mieli wszystko...

Jurek kiwnął głową.

–Czy było... Czy czegoś pani żałuje najbardziej? – zapytał. – Czy coś bezpowrotnie odeszło z pani mężem, a było pani niezwykle bliskie?

Przyjemską zmięła w dłoni ścierkę.

–Każda minuta spędzona z nim – powiedziała patetycznie. – To było jak zwiastowanie archaniola Gabriela... Będą panu mówić, że był zły. Niech pan nie wierzy w ani jedno słowo...

Jurek szybko pożegnał wdowę. Kiedy znalazł się za bramką, westchnął z ulgą. Wolno powlókł się w stronę przystanku miejskiej komunikacji. Miał dwie

godziny, by dotrzeć do położonej na przeciwległym skraju miasta fabryczki należącej do zmarłego.

* * *

W biurze zakładu produkującego ketchup nikt nie pracował. Sekretarki siedziały przy jednym z biurek i dyskutowały przy kawie o tym, co spotkało ich szefa. Poza nimi nie było tam nikogo. Pracownicy działu marketingu, księgowa i trzech kierowników zrobiło sobie wolne, nie racząc nawet zawiadomić o powodach swojej nieobecności. Również radca prawny, z którym Jurek umówił się przez telefon nie zjawił się o wyznaczonym czasie. Autor przemówień musiał na niego czekać prawie kwadrans.

–Och przepraszam za spóźnienie – rzucił od progu mały, energiczny mężczyzna w średnim wieku. – Czas to mój największy wróg. Dokucza mi bardziej niż koledzy po fachu, z którymi spotykam się w sądzie... Wejdzmy. Tu obok mam swoją komórkę.

Jurek wolno podniósł się z krzesła i podreptał za prawnikiem. W pokoiku, do którego weszli, panował bałagan. Stosy segregatorów i papierowych teczek z przeróżnymi dokumentami leżały dosłownie wszędzie.

–Widzę, że pan się trochę przestraszył tego niewielkiego jak na mnie nieporządku – radca uśmiechnął się zdejmując papiery z jednego z krzeseł. – Taki mam styl pracy. Muszę wszystko mieć pod ręką i świetnie orientuję się gdzie co leży. Czytałem

gdzieś, że ludzie, którzy tracą na sprzątanie zbyt dużo energii, nie potrafią później myśleć twórczo.

Jurek zajął przygotowane dla niego miejsce.

– Czy ktoś szanował pana Przyjemskiego? – zapytał.

Prawnik pokiwał głową.

– Podśluchał pan rozmowę sekretarek – przymrużył oczy. – Poza Józiem Żółtą Rączką, dzięki któremu ten interes w ogóle się kręci, wszyscy jego pracownicy mieli go głęboko w dupie... Jest pan zaskoczony? Zbychu był największym ignorantem dla jakiego pracowałem. Kiedyś z ciekawości przejrzałem papiery z początków działalności firmy i muszę powiedzieć, że tylko cudem to się nie rozleciało już po miesiącu. Facet był po prostu farciarzem. Nagle pojawiali się kontrahenci i dostawcy surowców, którzy praktycznie kredytowali działalność przetwórci i wszystko się jakoś szło. Po trzech latach pojawiły się nawet prawdziwe zyski.

Jurek spojrzał ze zdziwieniem na radcę.

– Nie rozumiem – powiedział. – Przyjemski był ignorantem czy geniuszem?

Prawnik westchnął głośno.

– Prawda jest taka – oznajmił. – Zbychu już dawno byłby na ulicy z garbem długów na plecach, gdyby nie Kroczyński. Sam byłem zaskoczony, kiedy odkryłem, kto za tym wszystkim stoi. To właśnie cudowny Staś dyskretnie maczał palce w sukcesie tej firmy. Z rozmowy z nim wywnioskowałem, że robił

to przede wszystkim dla córki Zbycha, której jest ojcem chrzestnym. On po prostu czuje się za wszystkich dookoła siebie odpowiedzialny.

– Chciałbym być jego kuzynem – Jurek uśmiechnął się. – Prawdę mówiąc jestem bardzo zaskoczony.

Mały mężczyzna uśmiechnął się.

– Kiedy spotkałem Zbyszka po raz pierwszy byłem nim oczarowany – powiedział. – Uwierzyłem w każde jego słowo. Tracił jednak przy bliższym poznaniu. To tak jak z balonem. Kupujemy po południu, cieszy nasze oczy wieczorem, kiedy jednak budzimy się rano, okazuje się, że jest tylko sflaczałym kawałkiem gumy... Wie pan, dobrze się stało, że morderca dopadł go właśnie teraz.

Jurek uniósł brwi, już nie był zdziwiony, był zaskokowany. Radca wstał z fotela, podszedł do okna i patrzył smutnym wzrokiem na odległe zarośla.

– Może nie powinienem tego mówić, nie sędzę jednak, żeby to była tajemnica – rzucił w zamyśleniu. – Wbił sobie do głowy, że robi wielki interes. Planował wziąć kredyt pod zastaw fabryki i domu. Oczywiście straciłby wszystko, bo to było najgłupsze przedsięwzięcie o jakim kiedykolwiek słyszałem. Tylko frajer mógł się na coś takiego nabrać. Zapewne już na początku przyszłego kwartału nie miałby nic. Doprawdy nie jestem w stanie zrozumieć takich facetów. Miał pieniądze, rodzinę, kochankę, dobrze prosperującą firmę i jeszcze mu było mało.

– Kochankę? – wyrwało się Jurkowi.

Prawnik odwrócił się w stronę rozmówcy.

– Był pan wcześniej u żony – uśmiechnął się. – Tak, zdradzał ją na lewo i prawo. Znał jej słabe punkty i bezlitośnie to wykorzystywał. Ona uważa się za artystkę. Robi w sznurkach, czy wełnie. Nie wiem dokładnie, bo nigdy nie byłem na wystawach, które Zbychu finansował z własnej, a raczej z zakładowej kieszeni. Odpisywaliśmy to od podatku, jako darowizny na kulturę. Jak ona mogła go o cokolwiek podejrzewać, jak był jedynym człowiekiem, który zachwycał się jej sztuką?

Jurek spuścił głowę, lewą ręką potarł nos.

– Trudno mi będzie napisać mowę na jego temat – przygryzł wargi.

Mały mężczyzna rozłożył bezradnie ręce.

– A jak pan myśli, dlaczego nikt nie chce pałać ostatniego słowa? – uśmiechnął się smutno. – Nie był noblistą czy działaczem z zasłużonym życiorysem... Ale zawsze może pan powiedzieć o Józku Złotej Rączce. Nikt nie chciał chłopca przyjąć do pracy, bo siedział. Ukradł kilka zwojów drutu w fabryce i dostał chyba ze cztery lata. A Zbychu, wbrew przestrogom przyjął go. To tak, jakby pan wziął psa ze schroniska. Albo trafi pan na psychopatę, albo nigdy nie będzie pan miał wierniejszego przyjaciela.

* * *

Pracownicy „Świętej Pamięci” z niecierpliwością patrzyli na wiszący na ścianie zegar. Za kilka minut

kończyła się kolejna dniówka. Najwyraźniej zgadzali się z poglądem pewnej noblistki, twierdzącej, że wielką tragedią współczesnego człowieka jest wykonywanie pracy, której nie lubi. Kiedy Jurek wszedł do sekretariatu, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Bez słowa podszedł do swojego biurka, na którym położył dwie wypchane reklamówki. Wygodnie rozsiadł się na fotelu i rzucił od niechcenia:

–Przyniosłem wam ketchup.

Mareczek przestał popychać wzrokiem leniwy sekundnik. Krystynka zastygła z otwartymi ustami przy uchu panny Jadzi. Pani Hania odwróciła się dystyngowanie i spojrzała uważnie na nowego pracownika.

–Nie patrzcie tak na mnie tylko bierzcie – Jurek wyjął z kieszeni notes i zaczął go kartkować. – W jednej jest ostry w drugiej łagodny. Do wyboru.

Pierwsza poderwała się panna Jadzia.

–Chcę łagodny, bo pikantny źle działa na cerę – powiedziała wyjmując z reklamówki półlitrowe butle z sosem pomidorowym.

Drugim workiem zajęła się Krystynka.

–A pani jaki woli? – Mareczek nachylił się nad sekretarką. – Zaraz pani wybiorę.

Pani Hania uśmiechnęła się.

–Ja w ogóle nie lubię ketchupu od Przyjemskiego – oznajmiła. – W jego przetwórni podobno jest węgarnia myszy.

–Też mam pewne wątpliwości – nieoczekiwanie powiedział Jurek. – Pamiętacie, gdzie znaleziono

trupa właściciela? Leżał w wózku pełnym przywie-
dłych pomidorów... Może ten ketchup został zrobio-
ny właśnie z nich? Wziąłem go prosto z linii produk-
cyjnej... Kto wie, co jest w tym sosie...

–Boże, jak pan może coś takiego mówić, słabo mi
– Krystynka pełnym obrzydzenia wzrokiem omiotła
plastikowe pojemniki.

Mareczek dumnie wypiął swoją wątłą pierś.

–Nie chcecie, to ja mogę wziąć wszystko – stwier-
dził stanowczym głosem.

–A co, znowu masz tanich robotników z prowincji
i gotujesz im obiady? – zapytała niewinnie pani Ha-
nia.

Mareczek wzruszył ramionami. Panna Jadzia bez
słowa przeniosła kilka opakowań sosu na swoje
biurko.

–To mogę wziąć wszystkie? – zapytał Mareczek.

–Na zdrowie – Jurek spojrzał na niego z uśmie-
chem. – Ja nie cierpię ketchupu...

* * *

Pan Miecio był wyraźnie przygnębiony. Siedział za
biurkiem wpatrując się tępym wzrokiem w telefon.

–To mówi pan, że nikt go nie szanował? – zapytał
cichym głosem.

Jurek splótł palce na piersi.

–Myślę, że nikt nie mógł go szanować, bo mamiał
ludzi wizjami, które nigdy nie stały się rzeczywisto-
ścią – skrzywił się. – Wcześniej czy później musiał

więc zostać uznany za oszołoma. Poza tym nie po-
waża się ludzi fałszywych, którzy co innego mówią,
a co innego robią. Potrafił klepać pracowników po
plecach, żartować z nimi, po czym na drugi dzień
dostawali wymówienie. Nasłuchałem się ciekawych
rzeczy, kiedy radca prawny oprowadzał mnie po ha-
lach produkcyjnych...

Pan Miecio pokiwał głową.

–Postępowanie z pracownikami to prawdziwa
sztuka – powiedział w zamyśleniu. – Z jednej stro-
ny nie można się spoufalać, z drugiej trzeba robić
dobrą atmosferę. A powiedzieć komuś, że wylatu-
je z roboty, to dopiero kłopot. Wie pan, jacy ci ro-
botnicy nieokrzescani? Chcesz mu wyjaśnić, że źle
pracuje i dlatego powinien szukać nowego zajęcia,
to z gębą wyskoczy, żeś jest krwio pijca i wyzyski-
wacz. Niedługo to pracodawcy będą musieli go-
ryli wynajmować, bo różne takie nieroby będą się
mścić. Frustracja w narodzie straszna, a jakie przy
tym każdy ma mniemanie o sobie!

–Pozwolę sobie nie do końca zgodzić się z panem
– Jurek przekrzywił głowę. – Można zwalniać pra-
cowników w cywilizowany sposób. Na przykład Kro-
czyński...

–Co mi pan tu o Kroczyńskim! – pan Miecio rozin-
dyczył się. – Wszyscy tylko o nim, jaki to wspaniały
facet. Może i jest wspaniały, ale co z tego? Nie on
ustala reguły gry...

–Dlaczego? – brwi autora mów pogrzebowych
uniosły się wysoko.

–Pan taki inteligentny i tego nie rozumie? – właściciel „Świętej Pamięci” prychnął pogardliwie. – Po prostu jest w mniejszości, a mniejszość nigdy nie ma racji. Mamy przecież demokrację.

Jurek kiwnął głową, jakby nagle dotarła do niego jakaś nieoczywista prawda.

–Zgadza się – uśmiechnął się do szefa. – Mam po prostu idealistyczne skrzywienie. Zostało mi z młodości.

Pan Miecio odwzajemnił uśmiech.

–Przejdzie panu, panie Jureczku – oznajmił jowialnie. – Idealizm jest jak choroba podobna do syfilisu. Dawniej był nieuleczalny, teraz wystarczą trzy zastrzyki, żeby go się pozbyć...

–Ale pokłute pośladki długo jeszcze bolą... – Jurek spojrzał szefowi w oczy.

–Mój nieodżałowany przyjaciel profesor Maciejak zwykł tłumaczyć swoim studentom: Wszystko i tak zaczyna się od dupy moi panowie – pryncypał zarechotał. – I była to najgłębsza myśl jaką kiedykolwiek usłyszałem na uniwersytecie... Ale przejdźmy do konkretów, czy ma pan wystarczająco dużo informacji, żeby napisać parę zdań o zmarłym?

–Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, jakie tematy omijać... – Jurek przygryzł wargę. – I wystarczająco dużo, żeby jasno zdawać sobie sprawę, że zostałem hipokrytą.

Pan Miecio pokręcił z dezaprobatą głową.

–Podobają mi się pana skrupuły – stwierdził wesółym głosem. – Niech pan jednak nie zapomina,

że już starożytni rozgrzeszyli nas z takiej hipokryzji
głosząc, że o umarłych tylko dobrze... Niech pan mi
przyniesie tę mówkę jutro w południe.

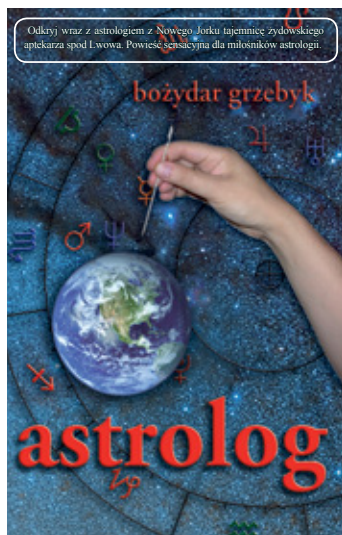
„Dobre Słowo” ebooki dla dorosłych

Bożydar Grzebyk

Astrolog.

Jeśli myślisz, że astrologią zajmują się tylko starsi panowie i panie, którzy mają skłonność do dziwaczного ubierania się i mówienia od rzeczy, to nic nie wiesz o astrologii. Jeśli dajesz komuś swoją datę urodzenia, nie zdziw się, kiedy twoje najskrytsze sekrety ujrzą światło dzienne i nagle dowiesz się, że są ludzie, którzy wiedzą o twoim kryzysie w małżeństwie, gorszym okresie w pracy i finansach, czy nie ujawnianych nikomu preferencjach seksualnych. Kto wie, może nawet będą znać datę śmierci twoich bliskich...

Astrolog to powieść sensacyjna, w której można znaleźć wiele ciekawostek na temat przewidywania pewnych wydarzeń na podstawie horoskopów i o tym jak dzięki astrologii można precyzyjniej oceniać ludzi.



[Kup książkę](#)

Bożydar Grzebyk

Współczesne opowieści żydowskie (usłyszane w krakowskiej kawiarni)

Zbiór niezwyklej opowiadań o tym jak na życie współczesnych Polaków wpływa świadomość współistnienia na naszych ziemiach, jeszcze całkiem niedawno, coraz bardziej tajemniczego, obrastającego mitami świata Żydów.

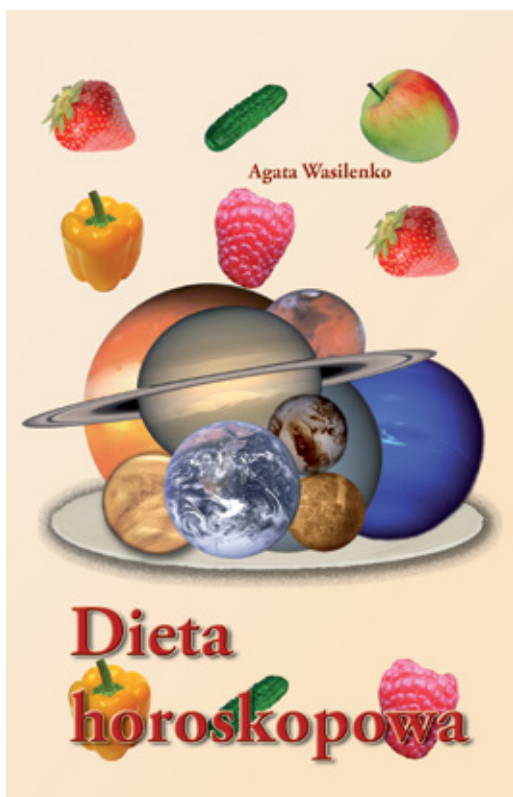


[Kup książkę](#)

Agata Wasilenko

Dieta horoskopowa

...nie ma czegoś takiego, jak uniwersalna dieta odchudzająca, która każdemu pomoże. Wiem coś o tym, bo wiele z nich wypróbowałam na sobie. Każdy do zrzucania nadmiaru kilogramów potrzebuje czegoś innego – innej motywacji, innego jadłospisu, innej aktywności ruchowej i wreszcie odpowiedniego towarzystwa.



Agata Wasilenko

Tajemnice pachnidła

Książka zainspirowana słynną powieścią *Pachnidło* Patricka Süskinda i filmem zrealizowanym na jej podstawie. Autorka analizuje proces tworzenia zapachów przez Grenouille'a, objaśnia sekrety języka perfum i opisuje słynne pachnidła. Z książki można się dowiedzieć, jaki jest związek pomiędzy źle dobranymi perfumami a mobbingiem i dlaczego zapach domowego ciasta jest skuteczniejszym afrodyzjakiem od woni piżma.



[Kup książkę](#)

Agata Wasilenko

Świat perfum

Poradnik dla początkujących miłośników perfum. Pozycja, którą można zaliczyć do klasyki gatunku. Wydanie e-book zmienione i uzupełnione.

Pierwsze wydanie - Świat Książki.



[Kup książkę](#)

Agata Wasilenko

Leksykon perfum

Pierwsze wydanie leksykonu miało miejsce w roku 1999. Nakład błyskawicznie zniknął z półek. Wydanie e-book uaktualnione i uzupełnione.

Anna Gras

Misiek i fałszerze czekolady

Misiek uwielbiał jeść, delektować się nowymi smakami. Marzył nawet o tym, żeby zostać słynnym kucharzem lub cukiernikiem. Zamiast ćwiczyć mięśnie, co zwykle chętnie robią jedenastoletni chłopcy, wolał eksperymenty w kuchni. Bardzo to irytowało nauczyciela wuefu pana Bronka, z którym był w ciągłym konflikcie.

Pewnego dnia Misiek został reprezentantem szkoły w turnieju międzyszkolnym. Wziął udział w konkursie rozpoznawania potraw. Przegrał, gdyż podsunęto mu sfalszowaną czekoladę. Kiedy zaprotestował, zyskał opinię osoby, która nie umie przegrywać z honorem. To bardzo podrażniło jego ambicję. Postanowił wykryć jak to się stało, że na turniej trafiła podrabiana czekolada. Przeprowadził śledztwo, w którym pomagała mu koleżanka z klasy Elwira. Nim jednak odszukał fałszerzy czekolady musiał rozprawić się ze swoimi prześladowcami – szóstkłasiastami Biedronką i Kielczykiem. W końcu trafił do siedziby przestępców, gdzie, jak to zwykle w takich książkach bywa, został uwięziony, a potem uratowany. Stał się bohaterem, a jego sława wykroczyła daleko poza mury szkoły...



Anna Gras

Misiek i świąteczne obżarstwo.

Kolejna opowieść o Mišku, małym smakoszu, którego czytelnicy mogli poznać dzięki książce „Misiek i fałszerze czekolady”. Przed chłopcem znów staje trudne zadanie – musi przetrwać rodzinne święta spędzane w domu wujka. Toczy pojedynki słowne z babcią i wujkiem, zaprzyjaźnia się ze złośliwym kotem, kontestującym kuzynem i małą kuzynką o dziwnym poczuciu humoru. Bierze udział w przygotowywaniu kolacji wigilijnej, którą ciotka twórczo wzbogaca o potrawy poznane w czasie urlopu w tropikach.

Kiedy dzieci zostają posądzone o zjadanie słodczy z choinki rozpoczyna śledztwo, które kończy się sukcesem i... awanturą w wyniku której Misiek ucieka z domu, dzięki czemu ma okazję poznać magię świąt u sąsiadów.



Anna Gras

Filip Engel i błękitny smok

Kiedy Filip przeprowadza się na nowe osiedle, nic nie dzieje się tak, jakby chciał.

Najlepsza przyjaciółka nie ma dla niego czasu, gdyż ucęszcza na dodatkowe zajęcia z języków obcych i dobrych manier, koledzy z szeregowców zadzierają nosa, a babcia jest coraz bardziej złośliwa.

Do bloku wprowadza się malarz - właściciel obrazu przedstawiającego błękitnego smoka. Chłopiec okrywa, że istnieje tajemnicza wyspa, gdzie żyją samotne smoki, bierze udział w niezwykłym wyścigu, stawia czoło straszniemu smokozbójcy i odważnie rzuca wyzwanie czerwonemu smokowi.

Opowieść o tym, co czai się w naszym wnętrzu. Można się z niej dowiedzieć, jak odróżnić dobrego smoka od złego. Dla wszystkich, którzy mają magiczną wyobraźnię.

Powieść nominowana do nagrody IBBY 2010



wkrótce w sprzedaży

Anna Gras

Misiek i perfumowana Kielbassa

Kolejna część przygód Miśka. Tym razem chłopiec odkrywa nie tylko nowe smaki, lecz także niezwykle pociągające zapachy. Dla młodych ludzi i ich rodziców.

Anna Gras

Filip Engel i smok taty

Druga część przygód Filipa Engela, który próbuje odkryć dlaczego jego tato stracił swojego smoka. Dla młodych ludzi i ich rodziców.

Anna Gras

Pan Słów

Wyrafinowana baśń - erudycyjna zabawa literacka, w której bohater toczy swoją prywatną wojnę ze śmiercią.

Anna Gras

Urzekający zapach konwalii

Anna Gras dla dorosłych - odpowiednik filmowej komedii romantycznej z doskonale zarysowanymi postaciami bohaterów, którzy mają problem z wyrażeniem swoich uczuć.

Bożydar Grzebyk

A komu czasem nie odbija? 2

Kolejny tom przygód Jurka, który nie może znaleźć sobie miejsca w życiu. Zaczyna się dobrze - znajduje pracę w dużej firmie i jest fajnie, dopóki demoniczna szefowa nie zaczyna go posądzać o rozsiewanie plotek na jej temat i ktoś zaczyna mordować pracowników firmy. Jurek znów znajduje się w kręgu podejrzeń komisarza Wierciocha. Doskonale zarysowane postacie, mnóstwo czarnego humoru. Książka równie kultowa jak część pierwsza.

Bożydar Grzebyk

Kłamca

Kolejna po Astrologu powieść sensacyjna Bożydara Grzebyka. Główny bohater, były ekspert zajmujący się komunikacją werbalną, zostaje po latach wezwany do dokonania zemsty, do czego się kiedyś zobowiązał. Aby jej dokonać musi posługiwać się kłamstwem. Okazuje się, że nawet dla niego, osoby, która doskonale zna mechanizmy rządzące wiarygonością wypowiedzi, nie jest to proste, kiedy przeciwnikiem jest osoba równie biegle posługująca się nieprawdą. Z tej książki można się dowiedzieć jak kłamać, żeby nam wierzono.